

Lila Leonard

Lato z Markiem

1

Najpierw dał się słyszeć cichy trzask wydobywający się z głośników olbrzymiego jumbo jęta, a następnie miło brzmiący męski głos obwieścił z lekkim hiszpańskim akcentem:

— Drodzy państwo, pragnę poinformować, że niedługo wylądujemy w Mexico City. Panuje dobra widoczność, będą więc państwo mieli możliwość rzucenia okiem na piramidy. Jeżeli w czasie pobytu w Meksyku znajdą państwo trochę czasu, by zwiedzić piramidy lub inne liczne Obiekty historyczne i wykopaliska w tym kraju, to bardzo do tego zachęcam, gdyż z pewnością warto. Życzę państwu przyjemnego pobytu.

Głośniki zostały wyłączone i słyszeć było tylko głuchy huk silników potężnego samolotu.

Diana Larkin oparła czoło o okno i z dużym napięciem oczekiwała pierwszego zetknięcia z Meksykiem, krajem, o którym już tak wiele słyszała i o którym od dawna marzyła.

Nagle warstwa chmur się rozdzieliła i otworzył się widok na ogromny łańcuch górski, który Diana często podziwiała w książkach z biblioteki ojca. Na fotografiach skały miały najczęściej kolor szary z lekkim od-

Lila Leonard

cieniem zieleni, a **tymczasem** w blasku słońca wyglądały jak szczerozłote.

-- Piramidy Teotihuacan — powiedziała zauroczona.

Jej oczy błyszczały od emocji.

Samolot robił duży łuk do lądowania i prastare budowle zniknęły I pola widzenia dziewczyny.

- **Teo-ti-hua-can** powtórzyła Diana powoli, starając się o **możliwie** poprawną wymowę tej niezwyklej nazwy, **Ciągło Jauzcze** trudno jej było uwierzyć w to, iż za parę minut dotknie stop;| kraju swoich marzeń.

Uimiał się na jej twarzy, gdy przypomniawszy sobie, jak była zaskoczona i zachwycona, gdy ojciec oznajmił, że pozwala jej pracować przy wykopaliskach w **Meksyku**.

Chociaż Joiceph Larkin kierował Instytutem Antropologii Uniwersytetu Illinois i uznawany był za sławę w tej dziedzinie, to nie życzył sobie, żeby jedyna córka poszła w jego zawodowe ślady. Diana znała powody takiego stanowiska, mimo że ojciec bardzo rzadko mówił o takich tragicznych wydarzeniach.

Gdy Diana była jeszcze małą, jej rodzice podjęli wspólną ekspedycję na ipółwysep Yukatan. Matka była fotografem wyprawy. Zespół naukowców pracował głęboko w dżungli i wielu orionków ekspedycji zostało w krótkim czasie zaatakowanych przez nieznany wirus. Matka Diany, która z natury była delikatna i mało odporna, dostała wysokiej gorączki i po kilku dniach zmarła w głębi dżungli. Została pochowana na wiejskim cmentarzu w pobliżu miejsca wykopalisk. Dużo czasu upłynęło, zanim profesor Larkin przyszedł do siebie po tym ciężkim ciosie i poprzysiągł sobie, że nigdy nie dopuści do tego, by jego córka narażała się na trudy i niebezpieczeństwa związane z tego typu pracą badawczą.

Mimo przedwczesnej śmierci matki, Diana żyła szczęś-

liwie w ojcowskim domu/ Znajdował się on niedaleko uniwersytetu i każdego roku jeden lub dwóch studentów mieszkało tu, by pracować pod kierownictwem profesora przy specjalistycznych pracach naukowych i pisać prace dyplomowe pod jego kierunkiem.

Dla Diany było to prawie tak, jakby miała nieskończenie dużo rodzeństwa, które zmieniało się corocznie. Bardzo jej to odpowiadało, gdyż studenci pomagali jej przy zadaniach i w ogóle stanowili miłe towarzystwo.

Gdy Diana pomyślała o Marku Harrisonie, zmarszczyła czoło. Był jedynym studentem, z którym nie bardzo mogła się dogadać. Jeżeli już w ogóle mieli ze sobą do czynienia, to prawie zawsze dochodziło do nieporozumień z powodu różnicy poglądów na różne sprawy.

Diana wzruszyła ramionami. On tak samo nie cierpiał mnie, jak ja jego. Był taki arogancki! Na każdym kroku próbował mnie pouczać. To mnie zawsze wyprowadzało z równowagi.

Diana była zła na siebie; że teraz o nim myśli, ale nie mogła inaczej, choć sama nie wiedziała, dlaczego.

Mark Harrison wykonał w swoim fachu kawał dobrej roboty. Był inteligentny i szalenie ambitny, skończył więc studia z najlepszymi wynikami, a profesor Larkin postanowił zaangażować go do swojej własnej pracy naukowej.

Po rocznej współpracy z profesorem Larkinem Mark bez większych trudności pokierował ekspedycją do Meksyku, a następnie pozostał na półwyspie Jukatan, by samodzielnie prowadzić dalsze badania.

Po paru miesiącach wrócił stamtąd z ciekawymi wynikami i uzyskał pozwolenie kontynuowania dzieła profesora Larkina. Od tej pory Mark i ojciec Diany spędzali czas pochyleni nad meksykańskimi mapami, porównując je z niezrozumiałymi dla Diany fotografiami leżącymi na biurku ojca. Gdy Mark ukończył trzydzieści lat, był już

Lila Leonard

tak znany, że wybitni naukowcy ze wszystkich stron kraju zabiegali o współpracę z nim.

Diana nie była bynajmniej oczarowana tym zachowującym się z rezerwą współlokatorem, który zawsze unosił ze zdziwieniem brwi, gdy wystrojona wychodziła wieczorem z domu na jakieś przyjęcie. W końcu należało to przecież do normalnego studenckiego życia...

— Proszę zapiąć pasy. Za kilka minut wylądujemy — miły głos stewardesy wyrwał Dianę ze wspomnień.

Jednak gdy zapinała pasy, myśli jej uparcie powracały do sprzeczki z Markiem.. Było to tamtego wieczoru, gdy Diana zakomunikowała ojcu swą decyzję robienia po obronie pracy dyplomowej doktoratu z antropologii.

Diana odziedziczyła po matce talent artystyczny i za namową ojca studiowała w akademii sztuk pięknych. Początkowo specjalizowała się w rysunku, z biegiem czasu stwierdziła jednak, iż bardziej interesuje ją historia sztuki. Rozbudziła się w niej potrzeba poznania odmienności różnych cywilizacji i wkrótce Diana była pewna, że jej prawdziwe zainteresowanie dotyczy antropologii.

Gdy powiedziała to ojcu, nie zaaprobował jej decyzji: — Wiesz zresztą doskonale, dlaczego — powiedział. Natychmiast urwał rozmowę i poszedł spać.

W poszukiwaniu wsparcia Diana zwróciła się do Marka, gdy tylko ojciec z gniewem zatrzasnął za sobą drzwi.

— Czy nie mógłbyś z nim porozmawiać? — zapytali z nadzieją w głosie. — Ciebie na pewno wysłucha, jak zwykle.

Patrzyła, jak niespokojnie, dużymi krokami przemierzał pokój tam i z powrotem. W pamięci przeżywała tę scenę jeszcze raz.

Nagle Mark stanął w miejscu. — Nie — powiedział szorstko i popatrzył na nią przenikliwie. — Antropologia nie jest dla ciebie. Według mnie, masz już po dziurki

w nosie sztuki i myślisz, że ni stąd, ni zowąd mogłabyś przerzucić się na jakiś poważny kierunek naukowy. I to tylko dlatego, że *rozwój ludzkości i różnych form jej kultury* brzmi tak interesująco. Nie sądzę więc, żebyś się naprawdę do tego nadawała.

Odwrócił się i wyciągnął kartkę z leżącej na stole teczki z jej rysunkami.

Przytrzymał w górze naszkicowany projekt stroju i zapytał: — Dlaczego nie chcesz zostać projektantką mody, o ile oczywiście znajdziesz pracę.

Jego oczy zrobiły się ciut ciemniejsze, gdy z dezaprobatą mierzył ją wzrokiem, od kolorowego T-shirta, aż po wąskie, sprane dżinsy. Wyciągnął rękę i dla żartu pociągnął za gruby, związany gumką warkocz Diany, opadający jej na ramiona.

— Dziwne, że choć lubisz stale siedzieć z nosem w czasopismach o modzie, to nie widać tego po tobie.

— Och, ty... ty jesteś...! — w złości nie mogła przypomnieć sobie właściwego epitetu.

Mark zrobił krok w jej stronę i położył jej rękę na ustach. — Nie tak głośno, zbudzisz swojego tatę. — Gdy to mówił szeptem, stał bliźniutko niej, a jego ustaomalże dotykały jej ucha.

Diana uświadomiła sobie, jaki był jej bliski. Jego ręka na jej ustach była przyjemnie chłodna. Jego oczy, którymi tak przenikliwie się jej przyglądał, były ciemnoszare.

Ma piękne oczy, przemknęło jej przez myśl. Nagle uświadomiła sobie, że Mark nie był tylko pierwszym lepszym studentem. Był poza tym atrakcyjnym mężczyzną, osobliwie na nią działającym.

Wszystko to było dla Diany zaskakujące. Do tej pory był niczym innym, jak tylko częścią domu, w dodatku niezbyt miłą. Mężczyzną, któremu lepiej zejść z drogi, po prostu aroganckim Markiem, pupilkiem jej ojca.

Lila Leonard

Jego bliskość stała się dla niej irytująca. Jakby nie widziała go nigdy dotąd, nagle spostrzegła, że jego ciemne, krótko ostrzyżone włosy falują się lekko. Wokół ust miał zmarszczkę, świadczącą o stanowczym charakterze. Biały sweter, który nosił pod tweedową marynarką, ładnie podkreślał śniadą skórę.

Gdy stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem, Diana zauważyła w jego spojrzeniu coś, czego wcześniej nie dostrzegała. Było to tak, jakby spotkali się po raz pierwszy w życiu. Musiała w duchu przyznać, że Mark Harrison to niezwykle atrakcyjny mężczyzna!

Mimo woli zaczerwieniła się i zmieszana popatrzyła na czubki swoich butów. Mark puścił ją i schylił się, by podnieść kartkę, która leżała na podłodze między nimi.

— Masz duży talent — powiedział spokojnie. — Dlaczego nie chcesz skończyć swoich studiów?

— Ponieważ chcę zostać antropologiem — odparła zdecydowanie, przytupując nogą jak niegrzeczne "dziecko".

— Najpierw powinnaś nauczyć się zachowywać, jak przystoi prawie dorosłemu człowiekowi — odpowiedział cynicznie, a następnie bez słowa opuścił pomieszczenie...

Przez tydzień schodzili sobie z drogi, ale pewnego wieczoru przypadek zrządził, że spotkali się w gabinecie ojca Diany, gdy ta chciała się pożegnać przed pójściem na przyjęcie.

— Idziesz na bal maskowy? — powitał ją bezczelnie, rzucając w jej stronę lekceważące spojrzenie.

Na policzkach Diany pojawiły się czerwone plamy, gdy ze złością oddała: — Przecież radziłeś mi, żebym zachowywała się jak dorosła. Nie kpj sobie więc teraz, że wyglądam jak dorosła.

Miała na sobie czarną sukienkę, opinającą proporcjonalne ciało jak druga skóra. Ramiona jej były nagie, jeśli nie liczyć wąskich ramiączek i cienkiego srebrnego łań-

cuszka. Z uszu zwiślały długie klipsy, a miedzianobrazowe włosy upięte były wysoko, tworząc kunsztowną fryzurę. Róż do policzków i szminka podkreślały ładnie rysy twarzy, a dzięki niebieskiemu cieniowi na powiekach i tak duże oczy wydawały się jeszcze większe.

— Wyglądasz jak dziewczynka, która przebrała się za kobietę — podsumował z błyskiem w rozbawionych oczach.

— Może wyobrażasz sobie, że powinnam robić wszystko, żeby tylko się tobie spodobać? — prychnęła.

Następnie odwróciła się na pięcie i z podniesioną dumnie głową skierowała się z wdziękiem w stronę wyjścia, o ile to w ogóle było możliwe w butach na wysokich obcasach. Zadała sobie wiele trudu, żeby się nie rozpłakać i nie rozmazać makijażu.

Wróciła do domu późną nocą. Gdy weszła do salonu, w kominku tlił się jeszcze ogień, a jedyna stojąca lampa rzucała przytłumione światło.

Młody mężczyzna, który przywiózł Dianę, wszedł za nią do pokoju. Nagle objął ją od tyłu i próbował powa-
na kanapę.

Diana zaczęła się bronić i krzyknęła: — Przystań! Eostaw mnie! — jednak -gwałtowny pocałunek zamknął usta.

— Sądzę, że młoda dama jasno się wyraziła — brzmiał nagle niski głos. Obok kominka stał Mark Harrison.

Młody mężczyzna wystraszył się wyraźnie i zanim w półochu uciekł, zdążył wykrztusić tylko słowo *dobranoc*.

Mark i Diana stanęli naprzeciw siebie i przez chwilę patrzyli na siebie, nie mówiąc ani słowa.

Mark skrawkiem papieru starannie zaznaczył miejsce w książce, którą właśnie czytał, i zapytał mimochodem: — Dlaczego w ogóle zaprosiłaś go do środka?

Uila Leonard

— Powiedział, że chce pożyczyć ode mnie jakieś materiały do następnego egzaminu — Diana nerwowo bawiła się jedwabnym szalem, który miała luźno zarzucony na ramiona.

— Jakie z ciebie niedoświadczone dziecko — powiedział Mark potrząsając głową i znowu patrzył na nią tym zarozumiałym wzrokiem, który Dianę totalnie wyprowadzał z równowagi.

Naraz uświadomiła sobie, jak też musi wyglądać. Wchodząc do pokoju zdjęła z nóg niewygodne wieczorowe buty. Stała więc teraz w rajstopach, z rozwichrzoną fryzurą i prawdopodobnie rozmazanym makijażem. A tuż przed nią znajdował się Mark i żartował sobie z niej. Nie mogła tego znieść.

— Właściwie jakim prawem szpiegujesz mnie? — krzyknęła zirytowana. Zaraz jednak doszła do wniosku, że prawdę mówiąc, wcale nie jest wściekła, lecz tylko jego bliskość wywołuje w niej dziwny niepokój i podniecenie, które nie mają w ogóle nic wspólnego ze złością.

— Nie szpieguję cię — odparł spokojnie Mark. — Siedziałem sobie tutaj po prostu w fotelu i byłem tak zaczytany, że nawet nie słyszałem, kiedy weszliście. Dopiero gdy zaczęliście się zachowywać tak szczeniacko, zwróciłem na to uwagę.

— Jediną rzeczą, którą stale masz mi do powiedzenia jest to, że zachowuję się szczeniacko i że muszę wydorosleć. Zaczynam mieć tego dość. Zrozumiałeś? — wyrzuciła z siebie. — Mam już dwadzieścia jeden lat i nie jestem oseskiem!

— Wiem — odpowiedział. — Chociaż tak naprawdę, to czekałem na ciebie, żeby się pożegnać. Kończę pracę tutaj i jutro rano lecę do Meksyku.

Diana wstrzymała oddech z zaskoczenia, ale i z rozczarowania. — O, nie! — zawołała spontanicznie.

Mimowolnie postąpiła krok w stronę Marka i położyła mu rękę na ramieniu, jakby chciała go zatrzymać.

W jego oczach pojawił się znowu ten niezwykły wyraz, gdy mówił: — Być może poświęcałbym ci więcej uwagi, gdybyś trochę wydorosłała.

I wtedy Diana po raz drugi tego wieczora znalazła się w objęciach mężczyzny.

Mark pocałował ją, a Diana tak dobrze poczuła się w jego ramionach, że najwyczejniej w świecie przytuliła się do niego. Wtedy on mocniej przywarł ustami do jej warg, a Diana oddała mu pocałunek z namiętnością, która ją samą zdumiała.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i poczuła jego rękę na swoim karku. Była jak odurzona. Czuła jego ciało tuż przy swoim. I wtedy opanowało ją pragnienie, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Jednak w następnej chwili włączył się rozsądek. Co ja robię? Chyba nie zwariowałam?!

Spróbowała uwolnić się z jego uścisku i Mark natychmiast ją puścił. — Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem, żeby to się stało.

Schylił się, podniósł z krzesła pakunek i podał jej, mówiąc:

— Chciałbym podarować ci coś na pożegnanie. Wprawdzie nie odpowiada to twoim wyobrażeniom o prezentach, ale skoro poważnie myślisz o antropologii, to powinno ci się to przydać. Dobranoc.

Diana stała milcząc i patrzyła, jak wychodził z pokoju. Następnie usiadła w fotelu i lekko drżącymi palcami zaczęła powoli rozwiązywać wstążkę. Gdy rozchyliła papier, zobaczyła grubą, bogato ilustrowaną książkę. Na obwolucie znajdowały się piękne wzory starych rysunków naskalnych. Diana przeczytała tytuł *Tajemnica meksykańskich piramid*. W parę sekund później była już głęboko pogrążona w treści książki.

Lila Leonard

Nie wie, jak długo tamtej nocy czytała. Pamięta tylko, że w pewnym momencie opanował ją sen, i że gdy o świcie otworzyła oczy, głowę miała pełną wizji na temat dawno zaginionych kultur meksykańskich, azteckich i hiszpańskich zdobywców, którzy byli zadziwiająco podobni do Marka Harrisona.

Następnego dnia, gdy ojciec spytał ją, czy wybiera się na przyjęcie, Diana odpowiedziała: — Nie, dzisiaj nie. Mark podarował mi książkę o Meksyku i chciałabym zostać w domu i poczytać trochę.

— To się dobrze składa, bo chciałbym coś z tobą omówić — powiedział ojciec.

I wtedy, gdy siedzieli przy kawie i ciastkach, Joseph Larkin oznajmił swojej córce, że jeszcze raz dokładnie przemyślał jej życzenie studiowania antropologii i doszedł do wniosku, że nie będzie się więcej sprzeciwiać.

— Najważniejsze, że ty się dobrze zastanowiłaś i jesteś pewna, iż jest to dla ciebie odpowiednie — powiedział.

To wszystko zdarzyło się przed rokiem. Dlaczego więc teraz myślę o "Marku? — zadawała sobie pytanie Diana.

Okrzyki i brawa przywróciły ją nagle do rzeczywistości. Były podziękowaniem dla pilota za bezbłędne lądowanie. Było ono tak miękkie, że Diana nawet nie zauważyła momentu, kiedy dotknęli ziemi.

Wyciągnęła spod siedzenia swoją niebieską torbę podrózną, a z bagażowego schowka wyjęła lekki płaszcz. Przewiesiła pasek torebki przez ramię i udała się do wyjścia.

— Dziękujemy, że wybrała pani nasze towarzystwo lotnicze — pożegnała stewardesa Dianę i z uśmiechem dodała: — Życzę powodzenia.

Podczas lotu stewardesa i Diana rozmawiały przez chwilę ze sobą. Diana opowiadała o ekspedycji, a stewart-

Lato z Markiem

desa przestrzegała ją przed różnymi kłopotliwymi sytuacjami, jakie w Meksyku zdarzają się turystom.

Diana ustawiła się w kolejce do odprawy celnej. Celnik potraktował ją z uprzedzającą grzecznością. Gdy przechodziła przez cło, towarzyszyły jej pełne podziwu spojrzenia.

Wcale nie uważała się za zbyt atrakcyjną, tym bardziej że niedawno obcięła włosy, tak że teraz lekkie fale ledwie sięgały ramion. Jednak rudawy odcień brązu pięknie wyglądał w promieniach meksykańskiego słońca. Światło przydawało jej włosom niezwykłego blasku.

Diana nie była wysoka, ale była szczupła i poruszała się z naturalnym wdziękiem.

Ogólnie biorąc była zadowolona ze swojego wyglądu. Jedyne piegi na lekko zadarłym nosie i blada cera przeszkadzały jej nieco. Ale tutaj, w Meksyku, z pewnością się opali.

Jej brązowe oczy lśniły, gdy w dobrym nastroju i pełna entuzjazmu szła przez kolorowy świat lotniska w Mexico City.

2

Elegancko ubrani'podróżni pozdrawiali się wzajemnie uprzejmymi formułkami lub-przyjaznymi okrzykami. Tu-byłcy chodzili z walizkami przewiazanymi sznurkiem lub nosili pod pachami plastikowe torby wypchane ubraniami.

Uzbrojeni w aparaty fotograficzne turyści stali w grupach, trzymając torby z zakupami, i głośno ze sobą rozmawiali.

Panował tu kolorowy rozgardiasz i niewiarygodny hałas. Diana miała wrażenie, że wszyscy wokół niej rozmawiają w całkowicie obcym języku, którego ani trochę nie rozumiała. Stopniowo jednak uszy jej oswajały się z obco brzmiącymi dźwiękami i była w stanie stwierdzić, że słyszy głównie strzępy słów hiszpańskich, wymieszane z różnymi narzeczami indiańskimi.

Meksykanie witali się i żegnali energicznym potrząsaniem rąk, i obejmowali się. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych, gdyż na wszystkich twarzach jaśniał szeroki uśmiech powitania i gościnności.

Diana stała jak zastygła, chcąc najpierw wchłonąć te nowe wrażenia, które ją zewsząd atakowały. Nagle ten stan przerwał głos płynący z głośnika i wywołujący jej nazwisko.

- Pani Larkin proszona jest o zgłoszenie się w okienku obsługi — informację w języku hiszpańskim powtórzo-
no raz jeszcze po angielsku.

Diana wzięła torbę podróżną i udała się pod wskazane okienko w przekonaniu, że czeka tam na nią kierownik ekspedycji.

Ku jej zaskoczeniu zobaczyła jednak młodego, barczystego mężczyznę, zbliżającego się w jej kierunku zamaszys-
tymi krokami. Miał na sobie spodnie koloru khaki i taką samą koszulę. Buty jego pokryte były warstwą miękkiego kurzu. Miał gęsty ciemny zarost oraz mocno opaloną twarz. Stalowszare oczy patrzyły na Dianę z uśmiechem.

— Mark! — zawołała szczerze zaskoczona. — Nie miałam pojęcia, że to ty jesteś kierownikiem ekspedycji.

Mark Harrison potrząsnął głową:— Bo też nim nie jestem. Jestem kierownikiem naukowym. Do ostatniej chwili nie było pewne, czy zostaną ściągnięty z programu Jukatan, aby, pokierować tym tutaj. Z tego powodu naj-
pierw dobrano zespół. No i wtedy okazało się, że jednak biorę w tym udział.

— Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby najpierw tworzo-
no zespół, a dopiero potem powoływano kierownika nau-
kowego — powiedziała niepewnie Diana. — W każdym razie byłam trochę zaskoczona, gdy ojciec nagle pozwolił mi ubiegać się o tę pracę. Wcale przecież nie miałam pojęcia, że ty... — urwała, gdyż w oczach Marka pojawił się nagle wyraźny błysk.

— I ja nie przypuszczałem, że akurat my dwoje będzie-
my ze sobą współpracować. Sądzę, że jeżeli będziemy nieco kontrolować nasze ulubione zajęcia, czyli sprzeczać się, i o będziemy w stanie zachowywać się jak dwoje normal-
nych, dorosłych ludzi, prawda? No, to przynieśmy teraz resztę twoich bagaży — dorzucił.

— To jest cały mój bagaż — Diana wskazała na

Lila Leonard

stojącą obok niej torbę podróżną. — Powiedziano mi, żebym zabrała w podróż możliwie mało rzeczy.

Mark z niedowierzaniem przyglądał się torbie. — No, to w takim razie możemy iść — powiedział i podniósł torbę Diany.

Wyobrażam sobie, że nie liczyłeś na mnie, pomyślała Diana, próbując dotrzymać kroku Markowi.

W ciągu minionego roku, od dnia pożegnania z Markiem w salonie jej domu, Diana miała możliwość śledzenia jego kariery. W wielu czasopismach naukowych ojca coraz to pojawiały się artykuły o postępach w jego pracy, często pisane nawet przez niego samego.

W „Champaign-Urbana Courier”, który często donosił z dumą o sukcesach absolwentów uniwersytetu, regularnie ukazywały się artykuły i fotografie Marka, a to w eleganckim wieczorowym garniturze, a to kiedy indziej jako prelegenta podczas oficjalnych uroczystości, na których spotykała się elita naukowców.

Diana zwróciła uwagę, że prawie na wszystkich zdjęciach u jego boku znajdowała się interesująca blondynka.

Jeszcze przed paroma tygodniami w „Chicago Tribune” ukazał się artykuł, w którym Marka nazwano *playboyem Jukatenu*.

Autor przytoczył jako tło krótki rys jego kariery, by następnie przejść do spraw delikatniejszych. Artykuł kończył się konkluzją, jakoby Mark przykładął wagę do tego, by podczas ekspedycji otaczać się młodymi, ładnymi asystentkami.

Kilka mniejszych zdjęć zawartych w artykule świadczyło o bardzo dobrym guście Marka, jeśli chodzi o kobiety.

Mając jeszcze przed oczyma ten artykuł, Diana myślała teraz: To naprawdę nic dziwnego, że nie jest zbyt zachwycony koniecznością... zadowolenia się mną.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Mark zatrzymał

się nagle i powiedział: — Właściwie miał cię odebrać Peter Simmons, ale ja i tak jutro muszę być tutaj po kogoś innego.

Powiedziawszy to, ruszył we właściwym mu tempie. Diana stłumiła tylko złość i usiłowała dotrzymać mu kroku.

Mark zwolnił nieco, gdy dochodzili wreszcie do wyjścia z dworca lotniczego. Przytrzymał Dianę otwarte drzwi i nagle znaleźli się w samym środku największego chaosu komunikacyjnego, jaki dziewczyna mogła sobie wyobrazić.

Mimo że ulice wydawały się być zakorkowane przez auta parkujące w dwóch lub trzech rzędach, to ze wszystkich stron jeszcze torowały sobie przejazd przez ten ścisk najprzeróżniejsze pojazdy pędzące z niesamowitą prędkością.

Diana zauważyła, jak nagle spośród parkujących z boku samochodów wyskoczyła elegancka limuzyna, tak że słychać było tylko pisk opon innych pojazdów zmuszonych do hamowania.

Wszędzie widać było białe taksówki, wrywające się często w szybkim tempie z rzeki pojazdów, by zabrać pasażerów, czego następstwem za każdym razem był głośny koncert klaksonów.

Diana wstrzymała dech z przerażenia, gdy nagle z przeraźliwie wyjącą syreną nadjechał ulicą z szaloną prędkością mikrobus marki Volkswagen, tak że samochody rozpięchły się przed nim we wszystkich możliwych kierunkach.

W głowie huczało jej od tego całego hałasu i nagrzanego powietrza. Była naprawdę zadowolona, gdy Mark wziął ją za rękę i powiedział: — Chodźmy prędko do auta.

Do drugiej ręki wziął jej podrózną torbę i trzymając teraz Dianę wolną ręką w pasie, poprowadził ją przez kłębówisko ludzi i samochodów do jaskrawoczerwonego

Lila Leonard

pojazdu, który wyglądał w połowie jak ciężarówka, a w połowie jak jeep.

— To landrover — wyjaśnił, widząc zdziwioną twarz dziewczyny. — Potrzebujemy go do transportu narzędzi i wykopalisk.

Umieścił w środku bagaż, a następnie pomógł Dianie przy wsiadaniu. — Chyba nie liczyłaś na mojego starego mercedesa? — dodał z łobuzerskim uśmiechem.

Przez moment patrzył jej poważnie w oczy, jedną ręką obejmując ją ciągle jeszcze w talii.

Diana była zła na siebie, że z jego powodu zmieszała się. Weź się w garść, rozkazała sobie.

— Odebrało ci mowę? — zażartował Mark.

Diana bez słowa potrząsnęła głową. Mark wypuścił ją, zamknął za nią drzwi i usiadł za kierownicą.

Siedziała nieruchomo. Czuła, jak się czerwieni, i miała tylko cichą nadzieję, że Mark tego nie widzi.

Co się ze mną dzieje? Prawie zawsze, gdy Mark z nią rozmawiał, wpadała w złość. Czuła się jak głupia gąska. Jednak za każdym razem, gdy jej dotykał, jej ciało przebiegał gorący dreszcz. To absurdalne, myślała.

Diana nie przyznawała się do tego, ale od ich pożegnального pocałunku każdy romans, który przeżywała później, porównywała z tamtym niezapomnianym wydarzeniem.

Nic nie było dostatecznie mocne, by wymazać wspomnienie tamtego pocałunku.

Diana dyskretnie przyglądała się Markowi z boku. Prawie wcale się nie zmienił. Nawet zarost, z którym było mu bardzo dobrze, nie mógł przysłonić jego zmysłowych ust.

Siedząc tak i obserwując, jak Mark zręcznie manewruje samochodem w komunikacyjnym chaosie, zastanawiała się, czy starałaby się o udział w tym programie wykopaliskowym, gflyby wiedziała, że Mark będzie kierownikiem.

Gdy wjechali wreszcie na wielopasmową szosę, Mark znowu zwrócił się do Diany:

— Właściwie nie mam zamiaru jako kierownik naukowy w jakikolwiek sposób brać pod uwagę naszą znajomość — powiedział chłodnym, rzeczowym tonem. — Od każdego, kto z nami pracuje, wymagam maksymalnego wysiłku, na jaki go stać, i całkowitego poświęcenia się pracy. Tylko wtedy można mieć nadzieję na powodzenie przedsięwzięcia. Wiem wprawdzie, że to twoja pierwsza ekspedycja, ale jestem zmuszony wszystkich uczestników traktować jednakowo.

Diana uznała, że Mark jest zarozumiały, a ton jego głosu rozzłościł ją. Nie dała jednak poznać tego po sobie.

— Wcale nie roszczę sobie pretensji do jakiegoś specjalnego traktowania tylko dlatego, że znamy się bliżej — wyjaśniła mu. — Zostałam przyjęta ze względu na moją znajomość historii sztuki i moim obowiązkiem jest katalogowanie wykopalisk. Będę starała się wypełniać to zadanie możliwie najlepiej i nie oczekuję nic ponadto, nawet jeżeli tobie wydaje się inaczej.

W Marka spojrzeniu przez moment mieszało się współczucie ze zdziwieniem, po chwili z powrotem patrzył poważnie na drogę.

— Z Peterem Simmonsem współpracuje się dobrze — powiedział obojętnym tonem. — To doskonały archeolog.

— Oczekiwałam, że to on mnie odbierze. Przysłał mi bardzo miły list i...

— Tak, Peter przejął organizację, zanim przyjechałam. Mam do niego pełne zaufanie. Mimo to niechętnie opuszczam nasz obóz. Ponieważ jednak jutro muszę odebrać z lotniska Liz van Dorn, było naturalne, że wyjechałam już dziś także po ciebie. — Widząc, że Diana uniosła brwi, nic

Lila Leonard

nie rozumiejąc, wyjaśnił: — Zdaje się, że nie słyszałaś jeszcze o Liz. Jest bratanicą Eleanor van Dorn i znajduje się właśnie w podróży do Acapulco. Postanowiła odwiedzić po drodze nasz obóz.

Teraz Diana zaczęła kojarzyć. Eleanor van Dorn, bogata wdowa z Chicago była sponsorem Uniwersytetu Illinois. Była bardzo hojna i często przekazywała większe sumy pieniędzy, jeżeli jakiś program badawczy uznała za ciekawy i godny poparcia. Nic więc dziwnego, że Mark osobiście wyjeżdżał po jej bratanicę.

— Liz miała wprawdzie ochotę zatrzymać się w hotelu Camino Real — powiedział Mark — ale ja zarezerwowałem pokój w trochę spokojniejszym, choć nie tak luksusowym hotelu, Camino Real wydaje mi się po prostu zbyt nobliwy...

— To nie jedziemy teraz do Cholula? — zapytała zdziwiona Diana. — Zdaje się, że tam jest obóz?

— Nie, zostaniemy w Mexico City — przerwał jej Mark. — Zespół pracuje w pobliżu małej wioski za Cholula. Warunki są tam dość prymitywne, możesz to sobie wyobrazić. Liz przyjeżdża dopiero jutro i pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę rozglądnąć się trochę w Mexico City. Co o tym sądzisz?

Diana była zachwycona. Serce zabiło jej mocniej na myśl, że może pochodzić po tym olbrzymim, obcym mieście i do tego z Markiem jako przewodnikiem!

Nagle dla Diany stało się jasne, iż chociaż zna już Marka od dawna, to właściwie nic o nim nie wie.

— To byłoby cudowne — powiedziała ochoczo. Oczywiście, nie miała nic przeciw temu, by poznać Mexico City.

Ale wtedy naszyły ją pierwsze wątpliwości. Czy Mark był rzeczywiście takim playboyem, jak to opisywały gazety? Diany nie interesowały takie przelotne znajomości,

jakich najprawdopodobniej szukał Mark w czasie swoich ekspedycji.

Landrover aż się zakołysał, gdy Mark w ostatnim momencie uniknął zderzenia z autobusem liniowym, który nagle zajechał im drogę.

— Do diabła, ci wszyscy kierowcy autobusów uważają, że drogi należą tylko do nich. — Mark zaklął jeszcze szpetnie, ale zaraz odwrócił się do Diany i uśmiechnął się. — Przestraszyłaś się?

— Tylko trochę — odpowiedziała. — Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyłam porządnie się wystraszyć.

Aby zmienić temat, zapytała:

— Powiedz, od kiedy właściwie nosisz brodę?

Zaśmiał się cicho i odwzajemnił się jej pytaniem: -

A kiedy ty ścięłaś włosy?

— Trzy tygodnie temu — odpowiedziała natychmiast. — Miałam już po prostu dość długich włosów.

Nie powiedziała mu, że tymczasem żałuje tej decyzji. Nie było przecież sensu denerwować się.

— Uważam, że bardzo dobrze jest ci w tej fryzurze — Stwierdził Mark i zapytał, robiąc śmieszna minę: — A co sądzisz o mojej brodzie?

Diana przekrzywiła głowę. — Sama nie wiem. Muszę się dopiero przyzwyczaić do niej.

— Bardzo dyplomatyczna odpowiedź — skwitował Mark i zaśmiał się.

Diana oparła się wygodnie i nagle poczuła całe zmęczenie. Widziała skąpany w słońcu krajobraz, ale nie była w stanie w pełni go przeżywać.

Niebo było czyste, w kolorze głębokiego błękitu, tylko gdzieś widać było parę białych chmur. Patrzyła na obcą roślinność po obu stronach szosy, na kolczaste agawy i jaskrawo kwitnące krzewy.

Lila Leonard

Naraz wyprostowała się i wyciągnęła szyję. — Och! — wyrwało się jej.

Mark spojrział na nią pytająco i podążył za jej wzrokiem.

— Ach, tak, to słynny Popocatepetl — wyjaśnił, wskazując na wyłaniający się z błękitu nieba olśniewająco biały wierzchołek pokryty śniegiem. Zjechał na pobocze, aby Diana mogła mu się lepiej przyjrzeć.

Diana odwróciła się. Twarz Marka była tuż przed nią. Odruchowo chciała się cofnąć, ale Mark chwycił ją za brodę i skłonił, by popatrzyła na niego.

— Dziwne — powiedział — chwilami zdaje mi się, jakbyśmy widzieli się ostatni raz wczoraj, a zaraz potem mam wrażenie, iż spotykamy się po raz pierwszy w życiu. — Dokładnie przyglądał się jej twarzy. — Czy ty właściwie wiesz, że twoje oczy czasem się zmieniają? Z brązu przechodzą w zieleń.

Diana patrzyła na niego zmieszana. To trochę za wiele jak na nią. Ten intrygujący obcy kraj, niezliczone nowe wrażenia, których nie mogła ogarnąć — a teraz nagle jeszcze to zainteresowanie, które okazywał jej Mark...

I nagle opanowało ją tęskne pragnienie odprężenia się i przytulenia do Marka, by w jego ramionach poczuć błogi spokój i nie musieć myśleć o niczym innym.

Diana przeraziła się własnych myśli. Czy straciłaś rozum, zadała sobie pytanie. Z pewnością nie był to właściwy kierunek, w którym rozwinać się miał jej stosunek do Marka!

Wyprostowała się i powiedziała sucho: — Tó prawda, moje oczy zmieniają kolor zależnie od tego, w co akurat jestem ubrana. Gdy mam na sobie zieloną sukienkę, to odbija się to w moich oczach.

Mark patrzył na nią jeszcze przez chwilę badawczo, gdy nerwowo owijała sobie kosmyk włosów wokół palca, a następnie zwolnił hamulec ręczny.

- A twoje włosy całkiem przypadkowo zamieniają się w miedź, gdy świeci na nie słońce, czy tak? — powiedział niby to mimochodem, uśmiechając się tajemniczo. Następnie wyjechał z powrotem na szosę.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Diana usiłowała uporządkować chaotyczne myśli.

Mark był w dalszym ciągu tak atrakcyjny, jak zachowywała to w pamięci. Wobec innych mężczyzn nie miała najmniejszego kłopotu z kontrolowaniem swoich uczuć. Dlaczego przy Marku było inaczej?

Już przy najmniejszym, nawet zupełnie przypadkowym dotyku serce biło jej jak szalone.

Gdy przyjedziemy na miejsce, będę miała dość pracy, by trzymać się z dala od niego, pocieszała się. AjjUtro i tak będzie przecież zajęty Liz van Dorn.

Ruch na szosie stał się znowu większy i Mark musiał zmniejszyć tempo. Skoncentrował się na jeździe i zręcznie manewrował autem wśród wielu innych pojazdów.

— Południe to najgorsza pora dnia — wyjaśnił Diana. — Większość Meksykan nie potrafi zrezygnować z tradycyjnej sjeisty, nawet jeżeli rząd czyni różne starania, by to przyzwyczajenie wykorzenić. Wszyscy jadą **wtedy** do domu, albo spotykają się gdzieś na obiedzie. Pojęcie czasu u Meksykan znacznie różni się od naszego, najlepiej odpręż się i uzbrój w cierpliwość. Niedługo będziemy w hotelu.

Łatwo powiedzieć, odpręż się, gdy tyle nowych rzeczy było do oglądania. Zgiełk uliczny i olbrzymie budowle fascynowały ją tak bardzo, że nie mogła ot tak, po prostu oprzeć się wygodnie w fotelu i przymknąć oczu.

I wtedy nagle ulica poszerzyła się, przechodząc w wielki plac. Diana wstrzymała aż oddech. Po jednej stronie placu wznosiła się wspaniała katedra, a w niewielkiej odległości od niej znajdował się Palacio National, siedziba prezydenta.

Lila Leonard

Diana przypomniała sobie, że czytała kiedyś, iż budynek ten zbudowano w szesnastym wieku w miejscu, gdzie dużo wcześniej stała świątynia i pałace Azteków.

Westchnęła głośno: — To wszystko jest jak sen. Nie mogę uwierzyć, że tu naprawdę jestem.

Szeroko otwartymi oczami przyglądała się przestronnym alejom. Panowała tu atmosfera rozmachu i elegancji i nawet głośny, niespokojny gwar dookoła nie był w stanie odebrać temu miejscu majestatu.

— Teraz pojedziemy przez całkiem inne dzielnice Mexico City — poinformował ją Mark i skierował samochód w ulicę wiodącą w bok od placu.

Jechali teraz wąskimi ulicami przez część miasta, pochodzącą z czasów kolonialnych. Było tu dużo ładnych, małych kościołów.

— Tu żyli Aztekowie, zanim Hiszpanie zawładnęli krajem — wyjaśnił Mark.

Wkrótce jednak ulice znowu stały się szersze. Znajdowali się na reprezentacyjnej ulicy Paseo de la Reforma.

Mark w dalszym ciągu był skory do objaśnień, ale Diana miała już dość. Nie mogła wchłonąć już więcej wrażeń i słuchała tylko jednym uchem.

Kwadrans później samochód zatrzymał się. Mark wysiadł i przeszedł na drugą stronę. Wyciągnął rękę do Diany mówiąc: — Chodź, mała, jesteśmy na miejscu.

Gdy Diana poruszyła się, by wysiąść, Mark uśmiechnął się szeroko, chwycił ją wpół obiema rękami i wyciągnął z auta.

Słońce grzało silnie. Diana stała jak urzeczona i podziwiała kwitnące drzewa przy wjeździe na teren hotelowy. Gdy Mark wziął ją za rękę i prowadził do wejścia, miała wrażenie, że nie jest w stanie wykrzesać z siebie ani krzty energii, tak bardzo była zmęczona i znużona.

3

Hotel okazał się rajem dla całkowicie wyczerpanych podróżnych. Grube, białe, kamienne mury zapewniały przyjemny chłód. Małe okna nie dopuszczały do wnętrza jaskrawego światła słonecznego.

Gdy Mark załatwił formalności w recepcji, Diana wyszła do ogrodu. Na tarasie stały okrągłe stoliki z parasolami i krzesłami. Niewielu gości przebywających tam kończyło właśnie obiad. Kelnerzy w białych strojach bezgłośnie poruszali się między stolikami, gotowi w każdej chwili do napełnienia kieliszków lub zebrania pustych talerzy.

— Na pewno umierasz z głodu, prawda? — powiedział Mark, stając tuż za Dianą. — Tutaj niestety nie dosianiemy już nic do jedzenia; ponieważ pora lunchu skończyła się, ale moglibyśmy przekąsić coś przy basenie. Co powiesz na to, żebyśmy przynieśli rzeczy do pływania i tam coś zjedli?

— Byłoby świetnie — zgodziła się z zachwytem.

Wrócili do hotelu i wyjechali windą na czwarte piętro. Gdy boy hotelowy otwierał drzwi do pokoju Diany, Mark wyjaśnił: — Ja mieszkam obok. Gdy wypakujesz swoje rzeczy, zapukaj tylko do mnie. Będę na ciebie czekał, okay?

— Dobrze, postaram się z tym pospieszyć — po-

Lila Leonard

wiedziała i weszła za boyem do swojego pokoju. Tuż za drzwiami zatrzymała się zachwycona. Pokój urządzony był bardzo starannie, w stylu starej hacjendy, pomyślała Diana. Nie oczekiwała tego.

Na dużym, ozdobionym rzeźbieniami, drewnianym łóżku leżała ręcznie tkana narzuta, Diana była przekonana, że krzesła i cynowe lampy także zostały wykonane ręcznie. Wysokie, łukowe okna obramowane były powiewnymi bawełnianymi firankami. Jedynym nowoczesnym przedmiotem był miękki dywan, wyściełający podłogę.

Diana przypomniała sobie, że ma się za parę minut spotkać z Markiem. Prędko zdjęła buty i zaczęła grzebać w swojej torbie podróżnej, aż wreszcie wyciągnęła z niej czarny strój kąpielowy i długi do kostek kaftan w czarno-białe pasy.

Od kiedy Mark zaczął naigrywać się z jej skrajnych upodobań do wytartych dżinsów i wytwornych sukien wieczorowych, Diana całkowicie zmieniła swoją garderobę. Jedyne co pozostawiła, to buty na wysokich obcasach, ale to miało związek z jej wzrostem. Diana uważała bowiem, że jest za niska. Również teraz włożyła białe sandały na bardzo wysokich korkowych obcasach.

Stała właśnie przed lustrem, by prędko nałożyć trochę różu i szminkę na usta, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

— Przepraszam, że trwało to tak długo — usprawiedliwiła się po otwarciu drzwi Markowi — ale zanim wyjęłam rzeczy do kąpieli, musiałam najpierw napatrzeć się pokojowi.

— A ja muszę napatrzeć się tobie — powiedział z uznaniem Mark. Chwycił Dianę za ramiona i obrócił ją wkoło, by przyrzeć się jej ze wszystkich stron. — Skąd to wystrasnęłaś? — zapytał, wskazując na kaftan, którego miękkie fałdy sięgały podłogi.

No, oczywiście z torby — odparła Diana śmiejąc się i pokazała na otwartą torbę podróżną, stojącą przy łozku.

Zignorowała nie dowierzające spojrzenie Marka i zmieniła temat.

— Skąd pochodzi to wszystko? — spytała, szerokim gestem ręki wskazując na piękne stare meble, stojące w pokoju.

Właściciele hotelu są potomkami zasiedziałej rodziny hiszpańskiej, która mieszka tu już od kilku stuleci — wyjaśnił Mark, gdy schodzili w dół po szerokich schodach, prowadzących do ogrodu na tyłach hotelu. — Są szalenie bogaci i posiadają jeszcze parę innych domów, między innymi supernowoczesny budynek mieszkalny, w którym sami mieszkają. Nigdy nie mogli zdobyć się na sprzedaż tego starego domu i postanowili urządzić w nim hotel. Nie tylko twój, ale też inne pokoje są bardzo indywidualnie wyposażone, i to wyłącznie w przedmioty rękodzieła. Mark

zrobił krótką pauzę. — Nie wszyscy czują się tutaj dobrze. Dla niektórych jest tu po prostu za spokojnie i zbyt skromnie. Na mnie jednak tutejsza atmosfera działa kojąco i odprężająco. Zawsze gdy jestem w Mexico City, nocuję w tym hotelu...

— Uważam, że jest tu cudownie — powiedziała Diana. — Ten spokój działa na mnie tak dobrze po długiej podróży.

Obeszli basen dookoła i usiedli przy jednym z okrągłych stolików. Kolorowy parasol użyczał im przyjemnego cienia.

Diana rzuciła okiem na jadłospis i westchnęła. Nie znała żadnej z wymienionych w nim potraw.

Wkrótce pojawił się kelner. Przywitał Marka jak dobrego, starego znajomego po hiszpańsku i z respektem skłonił się Dianie. Mark złożył zamówienie równie płynnie

Lila Leonard

po hiszpańsku, a kelner ukłonił się jeszcze raz, a następnie oddalił się.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, że zamówiłem dla ciebie *crepas de huitlacoche* — powiedział Mark. — Chwilę potrwa, zanim to przyrządzą. Mamy więc dość czasu, żeby trochę popływać.

Dianie krew uderzyła do twarzy i dziewczyna nie wytrzymała: — Dlaczego ciągle jeszcze traktujesz mnie jak małą dziewczynkę? Zamawiasz jedzenie, jakbym nie mogła tego zrobić sama. Naprawdę jestem wystarczająco dorosła, abym sama coś wybrała!

Mark wstał nagle. Jego oczy patrzyły na nią chłodno, gdy mówił: — Przepraszam, jeżeli się trochę pośpieszyłem, ale miałem wrażenie, że jesteś bardzo zmęczona. Poza tym wszystkie nazwy z jadłospisu brzmią dla ciebie obco. Ale jeżeli chcesz, to w każdej chwili mogę przywołać kelnera, by jeszcze zmienić zamówienie. — Przerwał i lodowatym wzrokiem popatrzył z góry na Dianę. — W każdym razie ja idę teraz popływać, i jeżeli wolno mi ci coś poradzić, to powinnaś uczynić to samo. Orzeźwij się trochę. Może zrobisz się po tym nieco mniej wybuchowa.

Mark odwrócił się na pięcie i trzema krokami podszedł do brzegu basenu. Po paru szczeblach wspiął się na trampolinę i w chwilę później bezbłędnym skokiem na główkę lądował w wodzie.

Diana zdjęła kaftan i niedbale przerzuciła go przez oparcie krzesła. Mark energicznymi ruchami pruł wodę basenu i nie zwracał najmniejszej uwagi na Dianę, która tymczasem wślizgnęła się do wody. Parę razy zanurkowała, rozkoszując się odświeżającą kąpielą.

Po przepłynięciu kilku długości basenu Diana wyszła na brzeg i położyła się na ręczniku.

Właśnie przymknęła oczy, by odprężyć się w słonecz-

nym ciepłe, gdy usłyszała niski głos, który pytał: — Wiesz, ze świetnie wyglądasz w tym stroju kąpielowym?

Diana spojrzała przymrużonymi oczami w górę. Tuż przy niej stał Mark. Kropelki wody lśniły w jego ciemnych włosach. Brązowa opalenizna i muskularne ciało świadczyły o częstej, ciężkiej pracy w plenerze.

— Czuję się trochę za bardzo ubrana — powiedziała Diana i uśmiechnęła się niepewnie. Wzrok jej powędrował po innych kobietach, których bikini składały się zaledwie z dwóch pasków materiału.

— Och, ja wiem, jak wyglądasz, gdy jesteś „za bardzo ubrana” — odrzekł Mark, uśmiechając się wieloznacznie. — Teraz jednak podobasz mi się akurat taka, jaka jesteś.

Mark położył się koło Diany i przysunął swoją opalona rękę do jej ramienia. Kontrast z jej białą skórą był nader widoczny.

- Nieźle rzucasz się w oczy — stwierdził Mark. — Od razu widać, że nie miałaś jeszcze do czynienia z meksykańskim słońcem.

Lekki dotyk jego ręki wywołał u Diany dreszcz. Jego skóra była ciepła i miękka. Lodowaty chłód w spojrzeniu Marka sprzed chwili zniknął. Zamiast tego w oczach jego pojawił się szczególny blask.

Serce Diany zaczęło bić jak szalone, gdy tak na nią patrzył. Zrobiło się jej gorąco. Bardzo się zmieszała i czuła, że znowu zachowała się głupio.

W chwili, gdy pojawił się z pełną tacą kelner, Diana odechnęła. — Jest nasze jedzenie — zawołała i poderwała się. Była zadowolona, że ma pretekst wyrwania się spod czaru jego wzroku.

Mark podszedł za nią do stolika i usiadł. Diana obserwowała zafascynowana, z jaką zręcznością kelner serwował jedzenie. Na koniec napełnił duże kufle schłodzonym piwem, skłonił się i zniknął w kierunku kuchni.

Lila Leonard

— Nie lubisz piwa, prawda? — zapytał Mark, widząc, jak Diana sceptycznie spogląda na pełny kufel.

— W domu piliśmy najwyżej lampkę wina — odparła. — Nie przywykłam do piwa.

— Mimo wielu zabaw w college'u? — zapytał Mark, kręcąc głową. Widząc jednak, że Diana zamierza zaprotestować, dodał prędko: — Może po prostu spróbuj. To naprawdę bardzo lekkie piwo. Na pewno cię orzeźwi.

Diana ostrożnie wzięła łyk do ust. W istocie, piwo było przyjemnie zimne. Tylko do lekko gorzkiego smaku musiała się jeszcze przyzwyczaić.

Zaczęli jeść. Diana była zachwycona różnorodnością obcych smaków. Skosztowała również potrawy Marka i także tym razem była zaskoczona wykwintnym przyrządzeniem i przyprawami.

— Jak potoczyły się losy tego młodego człowieka, przed którym uratowałem cię wtedy, ostatniego wieczoru? — zapytał nagle Mark.

Diana była zaskoczona jego pytaniem. Dlaczego go to interesuje?

— Skończyliśmy ze sobą i, o ile wiem, mieszka teraz ze swoją przyjaciółką.

— Ach, tak... — powiedział Mark. — Właściwie, ilu z twoich przyjaciół wstąpiło po egzaminie w związki małżeńskie?

Diana upiła znowu nieco piwa, zanim odpowiedziała: — Nie wszyscy zawarli związki małżeńskie. Wielu z nich mieszka z przyjacielem czy* przyjaciółką. To są tylko przyjaźnie. A ja uważam, że prawdziwym związkiem może być tylko małżeństwo. No cóż, ja się jednak do tego nie spieszę.

— A czy jest ktoś, kto chciałby ożenić się z tobą? — zapytał jakby mimochodem Mark.

— Nie — Diana wpatrywała się w dno kufła. — Znowu żałowała, że tak wyrwała się z ujawnieniem swojego

zdania. — W tej chwili mam co innego w głowie, a mianowicie możliwie dobrą i sumienną pracę tutaj.

Mark chwycił jej ręce i ścisnął je. — Bardzo się cieszę, będziesz z nami pracować — powiedział z prawdziwym Przekonaniem'.

Oczyrna wyobraźni Diana zobaczyła napisany tłustym drukiem w gazecie tytuł *Playboy Jukatano*. Prędko fuinęła ręce.

Coś nie w porządku? — Mark podniósł brwi ze zdziwienia.

Nie, nie — odpowiedziała natychmiast Diana. — Chodzi tylko o to, że jeszcze nie przywykłam do twojej brody, rozumiesz?

Mark śmiał się dobrodusznie. — To, czego potrzebujesz, to kilka godzin snu — powiedział w końcu. — Czy miałabyś coś przeciw temu, żebym odprowadził cię do pokoju?

Diana czuła się rzeczywiście ogromnie zmęczona i dlatego nie zaprotestowała. Zabrali swoje rzeczy i udali się do pokoiów.

— Możesz do mnie zapukać, jak się wyśpisz — zaproponował Mark, otwierając drzwi do pokoju Diany.

Pokojówka opuściła żaluzje i w pomieszczeniu panował teraz przyjemny chłód i półmrok.

Diana z ulgą opadła na łóżko, Mark miał rację. Była naprawdę niesamowicie zmęczona. Sen ogarnął ją tak prędko, że nie zdążyła nawet zdjąć stroju kąpielowego.

Minęło trochę czasu i do uszu Diany doszedł śpiew ptaków i cicha muzyka.

Nagle, nie wiadomo jak i skąd, pojawiła się nad nią twarz Marka. Patrzył na nią poważnym wzrokiem. Wyraz jego twarzy był teraz inny, niż do tego przywykła. Nie miała przed sobą ani aroganckiego, dominującego Marka

Lila Leonard

z przeszłości, ani też humorzastego, drażliwego Marka, jakiego spotkała dzisiaj.

Jego poważne oczy miały w sobie coś magicznego, coś, co nie pozwalało jej oderwać od niego wzroku. Mark był teraz bez zarostu. Brodę- miał gładko ogoloną i kanciastą. Zmysłowe usta coraz bardziej się do niej zbliżały.

— Mark — powiedziała ostrożnie. Wyprostowała we śnie ramiona, by go do siebie przyciągnąć.

Po krótkim wahaniu usta ich spotkały się. Diana utonęła w ramionach Marka, przywierając mocno do niego. Czuła, jakby płonął w niej gorący ogień, nad którym nie mogła zapanować. Oddech jej zrobił się szybszy, gdy pocałunek Marka stawał się gwałtowniejszy i zdawał się nie mieć końca. Jego ciepłe, mocne ręce gładziły jej nagi kark. Jedno ramię stroju kąpielowego zsunęło się i ręka Marka przesunęła się po jej ramieniu.

Nagle ciche chrząknięcie przestraszyło Dianę. — Mark! — Usiadła wyprostowana na łóżku i kurczowo trzymała podciągniętą pod brodę narzutę. — Jesteś tu naprawdę! Myślałam, że... że to tylko sen!

Mark siedział na brzegu łóżka i wpatrywał się w Dianę, nic nie rozumiejąc.

— Jak tu wszedłeś? — wyszeptała, ciągle jeszcze zbita z tropu.

— Próbowałem kilka razy dodzwonić się do ciebie, ale nie podnosiłaś słuchawki. — Mark wyprężył się i przesunął ręką po włosach. — Wtedy zacząłem się o ciebie martwić, Gdy następnie stwierdziłem, że przez przeoczenie włożyłem do kieszeni spodni klucz od twojego pokoju, zdecydowałem się po prostu wejść tutaj. Mogło się przecież zdarzyć, że dostałaś udaru słonecznego albo źle się czujesz. — Zamilkł na chwilę. — Gdy wypowiedziałaś moje imię, byłem święcie przekonany, że nie śpisz.

Lato z Markiem

Nie masz prawa tak po prostu wchodzić do tego pokoju — powiedziała Diana. Była rozdarta pomiędzy ilością i zażenowaniem.

Mark popatrzył na nią z drugiego końca łóżka i powiedział: — Naprawdę, przykro mi, że doszło między nami do tego... do tego nieporozumienia. Ale zobaczysz jeszcze, przy tym programie badawczym sfera prywatna często spychana jest na dalszy plan. Po prostu nie zawsze zwraca się uwagę na formy i zasady dobrego wychowania.

Czytałam już co nieco o pańskich metodach pracy, panie Harrison — powiedziała Diana ostro. — A ja naprawdę nie nadaję się do odgrywania podczas ekspedycji pańskiej osobistej towarzyszki. Wtedy, w Champaign-Urbana stałe mi wytykałeś, że powinnam wydorosnąć. Tymczasem właśnie to się stało i możesz spokojnie przestać troszczyć się o mnie.

Mark przejechał wzrokiem po konturach jej ciała, które wyraźnie odznaczały się pod cienką narzutą. Następnie powiedział chłodnym tonem: — Nikt w to nie wątpi, że jesteś dorosłą kobietą. Mam nadzieję, iż znajdzie to wyraz w twojej pracy naukowej. Poza tym, ja ci tylko radziłem, iebys zachowywała się jak dorosła. Być może widziałaś we mnie wtedy kogoś podobnego do starszego brata? Ale zapewniam cię, że ja nigdy nie traktowałem ciebie jak młodszej siostry.

Położył klucze do pokoju Diany na stole i powiedział z naciskiem:

— Chciałbym się spotkać z tobą za około dwadzieścia minut w hallu, na dole.

Następnie bez żadnych dodatkowych wyjaśnień wyszedł.

4

Drzwi za Markiem zamknęły się z trzaskiem. Diana podciągnęła narzutę pod brodę i zamknęła oczy.

Tak bardzo chciała wymazać z pamięci wspomnienie uścisku Marka i jego namiętnego pocałunku, ale to się jej nie udawało.

Gdybym tylko wiedziała, w którym momencie mój sen stał się rzeczywistością, zastanawiała się.

Nagle gwałtownym ruchem odrzuciła narzutę i poszła do łazienki. Pod orzeźwiającym prysznicem gniew jej powoli przechodził. Po wysuszeniu ciała i wy szczotkowaniu włosów, tak że lśniły jak miedź, Diana poczuła się lepiej.

Nałożyła lekką, jedwabną sukienkę o subtelnym liliowym odcieniu i sandały na wysokich obcasach tego samego koloru.

Spojrzenie w lustro przekonało ją, że użycie różu byłoby zbyt cenne. Policzki miała ciągle jeszcze zaróżowione ze zdenerwowania.

Diana stała przed lustrem i szczegółowo oceniała swoje odbicie. Na kogo właściwie tak bardzo się złościła? — zastanawiała się. Jesteś zła na Marka, że potraktował cię dokładnie tak, jak tego, powiedzmy szczerze, oczekiwałaś?

A może jeszcze o wiele bardziej jesteś zła na siebie samą, że jesteś zadowolona, iż doszło do tego pocałunku?

Diana wyprężyła się. Teraz posłuchaj mnie dobrze, rozkazała swemu odbiciu w lustrze. To pierwsza praca badawcza w twoim życiu i przypadek zrządził, że twoim szefem jest Mark Harrison. Nie tylko jest twoim przełożonym, ale jeszcze do tego jest niezwykle atrakcyjny i seksowny. Nie oszukuj się. Poza tym jest przyzwyczajony do umilania sobie ekspedycji takim czy innym romansiem. A więc, tylko od ciebie zależy, jak się to wszystko potoczy. Tylko ty możesz zachować dystans i utrzymać z Markiem kontakt ograniczony jedynie do spraw zawodowych.

Po tej rozmowie z samą sobą Diana spojrzała na zegarek i wystraszyła się. Mark na pewno już na nią czeka! Porwała torebkę i szybko opuściła pokój. Postanowiła nie czekać na windę, tylko prędko zbiegła po schodach na dół.

Mark ukłonił się z ironią, gdy stanęła przed nim, łapiąc powietrze, i powiedział: — W przyszłości przypomnij mi, żebym ci dał więcej niż dwadzieścia minut na ubranie.

Następnie wziął ją pod rękę i przeszedł z nią przez hall i dalej, na ulicę, nie przejmując się ani trochę jej delikatną próbą wyciągnięcia ręki z jego uchwytu.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, powiedział: — Restauracja znajduje się niedaleko stąd. Pójdziemy na piechotę, czy ze względu na twoje obcasy wolisz pojechać taksówką?

Diana poczuła, jak znowu zaczęła się w środku gotować. Czy Mark starał się teraz być uprzejmy, czy też chciał ją sprowokować swoim sarkazmem?

— Wolałabym pójść piechotą — odparła zdecydowanie.

Powietrze tymczasem znacznie się ochłodziło i pierwsze gwiazdy iskrzyły się na wieczornym niebie.

Szli w milczeniu obok siebie. Diana nie chciała ryzykować spojrzenia w bok, na Marka. W jasnym letnim

Lila Leonard

garniturze, który włożył w miejsce niedbałego ubrania w kolorze khaki, wyglądał naprawdę świetnie.

— No, jesteśmy na miejscu — powiedział po paru minutach, zatrzymując się przed bogato zdobionym stiukami domem.

Ledwie przestąpili próg lokalu, a od razu znaleźli się w środku wyraźnie czymś zaafierowanej dyskutującej grupy Meksykan. Kelner i jego pomocnik, którzy uwijali się między gośćmi, na widok Marka powitali go przesadnie głośno. Ukłonili się Dianie i przyjaźnie się do niej uśmiechnęli, podczas gdy Mark na ich wylewne powitanie odpowiedział płynnie po hiszpańsku. Musiał także znieść uściski kilku Meksykan.

W tym czasie od strony kuchni nadszedł korpulentny, starszy mężczyzna z sumiastym wąsem i wesołymi, małymi oczkami, czarnymi jak węgle. Wyglądał na właściciela restauracji. Także i on nie omieszkał serdecznym uściskiem powitać Marka. Dianę natomiast szarmancko pocałował w rękę i powiedział, że jej uroda z pewnością odwróci uwagę innych gości od spożywanych właśnie doskonałych potraw. Odgłos tłukącej się porcelany skłonił go w końcu do przeproszenia i oddalenia się szybkim krokiem do kuchni.

Mark i Diana usiedli przy miłym stoliku przeznaczonym dla dwu osób i zaczęli studiować jadłospis.

Gdy wzrok ich się spotkał, Mark powiedział chłodnym tonem: — Jedzenie jest tu wprawdzie bardzo dobre, ale zastanów się przez chwilę nad wyborem dań, żebyś zamówiła to, co ci odpowiada.

Szczególnie zaakcentował ostatnie słowa. Diana popatrzyła na niego zdziwiona. Co mu się stało? Dopiero co żartował wesoło z kelnerami, a teraz nagle przybrał taki lodowaty ton.

Diana odłożyła kartkę na bok i złożyła ręce na stole.

Nstępnie wzięła głęboki oddech. — Chciałabym ci coś wiedzieć. Przepraszam, że dziś po południu straciłam panowanie nad sobą, ale naprawdę nie spodziewałam się spotkać ciebie w moim pokoju. Poza tym wszystko jest tu dla mnie nowe i takie ekscytujące. Chyba potrzebuję trochę czasu, żeby przyzwycząić się do Meksyku, do mojej nowej sytuacji, i do ciebie...

Mark przerwał jej, biorąc jej ręce w swoje. Nachylił się uśmiechając się spojrzął jej w oczy. — Zapomnijmy o tym popołudniu i zacznijmy wszystko od nowa — zaproponował.

— Zgoda — odparła Diana z ulgą i również się uśmiechnęła. Ostrożnie cofnęła ręce, gdyż jego dotyk akurat nie pozwalał jej wymazać z pamięci wydarzeń popołudnia.

Na nowo zajęli się kartą dań. Gdy Mark po chwili zapytał: — No, na co masz ochotę? — Diana tylko bezradnie wzruszyła ramionami.

— Poddaję się. Zamówię to, co mi poradzisz.

— W takim razie najpierw poradzę ci, żebyś skosztowała wina, które stoi przed tobą. To dobre meksykańskie białe Wino, które świetnie pasuje do jedzenia, jakie tu serwują.

W tym momencie przy ich stoliku pojawił się właściciel i postawił przed nimi dwie duże miski.

— *Guacamole* — powiedział Mark wskazując na naczynia. — Krem z avocado i tortille. Po tym będzie prażony ryż z różnymi jarzynami i wieprzowina opiekana na ruszcie. Musimy zjeść wszystko, inaczej senor Espinoza będzie bardzo rozczarowany.

— Ależ, ja nigdy nie dam rady zjeść takiej porcji — westchnęła zrezygnowana.

— Nie zapominaj, że jestem twoim szefem, a polecen szefa należy słuchać — powiedział Mark i popatrzył na nią prowokująco.

Lila Leonard

Diana nie wiedziała dokładnie, czy się znowu złościć, czy jego uwagę po prostu zignorować. — No, a skoro jesteś szefem, to z pewnością będziesz mi mógł wyjaśnić szczegóły dotyczące programu, prawda?

— Hm, to wcale nie jest takie proste — odparł i potarł sobie brodę.

— Jesteś przecież kierownikiem. Jeżeli ty nie możesz mi tego objaśnić, to kto? — zapytała uśmiechając się.

— Właśnie chciałem zacząć wyjaśniać. Zechcesz mnie posłuchać, czy będziesz mi stale wpadać w słowo? — zapytał władczym tonem.

Diana patrzyła na swój talerz i powstrzymała się od riposty. Zrozumiała, że nie ma powodu podważać zawodowego autorytetu Marka, ale stało się też dla niej jasne, iż był bardzo drażliwy na tym punkcie.

— Chciałabym dowiedzieć się możliwie dużo o programie, w którym będę uczestniczyć — powiedziała spokojnie.

— No i słusznie — powiedział Mark napełniając kieliszki winem. — Jak wiesz, dużo czasu spędziłem na Jukatanie, by kontynuować tam pracę twojego ojca. W trakcie moich badań coraz bardziej dochodziłem do przekonania, że starożytni Inkowie żyli *w o wiele bardziej rozwiniętych strukturach społecznych, niż zwykliśmy sądzić. Im więcej czytałem o wynikach innych badań, tym bardziej przekonywałem się, iż pradawni mieszkańcy posiadali możliwość i środki do utrzymywania łączności między sobą, wykraczające poza granice ich przestrzeni życiowej i tym samym nie byli odizolowani na swoim ściśle ograniczonym terytorium.

W tym momencie Markowi przerwał ubrany na biało kelner, który postawił przed nimi ogromną, dymiącą wazę z zupą.

Gdy kelner zabierał opróżnione talerze, Diana dziwiła się sama sobie, że w tak krótkim czasie uporała się z przystawką.

Mark tymczasem zajął się nalewaniem dymiącej zupy jarzynowej do dwu misek. Jedną z nich podsunął Diane mówiąc: — Ostrożnie, jest bardzo gorąca i bardzo pikantna krótko mówiąc, jak ogień, zarówno jeśli chodzi o temperaturę, jak i o smak.

Diana skosztowała jedną pełną łyżkę i była zachwyconym ostrym smakiem, lecz po chwili miała wrażenie, że na jej języku płonie ognisko. Prędko wypła kilka łyków wina, patrząc zdumiona, jak Mark niewzruszony je łyżkę za łyżką. Po paru minutach jego miska była pusta.

- Jak ty to robisz? — spytała, kręcąc głową. — Chyba masz język z azbestu.

Mark zmieszał się, a następnie roześmiał głośno. — Już ktoś mi mówił, że mam ostry język, ale że z azbestu, tego jeszcze nie słyszałem! Jak pobędziesz tu dłużej, to też przyzwyczaisz się do ostrych przypraw.

— Nie wyobrażam sobie tego — odparła z powątpiewaniem. — Ale powróćmy do naszego programu. Chciałeś mi przecież właśnie wyłożyć swoją teorię.

Mark skinął. — No, chociaż raz ktoś nie odebrał mi prawa do tej teorii. Potem jednak kilku naukowców, zresztą przez przypadek, znalazło dowody na to, że na Jukatanie musiało istnieć kiedyś tak dużo miast, iż cały półwysep wyglądał jak jedno wielkie miasto z wieloma przedmieściami.

— Ach, tak! — zawołała Diana z błyszczącymi oczyma. — Zdjęcia satelitarne, które oglądałeś razem z moim ojcem! To na pewno zdjęcia, które porównywaliscie z mapami, naprowadziły cię na to, prawda? Czy one też należą do dowodów, o których przed chwilą wspominałeś?

Mark zmarszczył gniewnie czoło. — Sądzę, że nie wiesz, o czym mówisz. To wszystko jest dla ciebie zbyt skomplikowane.

Lila Leonard

— Nie, wcale nie! — odparła żarliwie. — Gdy zaczęłam studiować antropologię, przeczytałam prawie wszystkie książki z biblioteki ojca. Rozmawiałam z nim także o tych szczególnych zdjęciach.

Zaczerwieniła się na myśl, że właściwie powodem jej ciekawości była chęć odkrycia tego, co tak intensywnie zajmowało Marka wtedy, iż nie miał czasu na nic innego poza tym.

— Tato powiedział mi, że to zdjęcia satelitarne — kontynuowała Diana. — Widziałam na nich osobliwe formy i struktury, ale oczywiście nie wiedziałam, co one znaczą, a tato nigdy mi tego nie wyjaśnił. Ale chyba przynasz, że one wiążą się trochę z naszą pracą tutaj, prawda? — popatrzyła pytająco na Marka. Policzki zaróżowiły się jej z podniecenia.

Mark nachylił się nad stolikiem i podparł głowę obiema dłońmi. — Zawsze podejrzewałem, że nie traktujesz zbyt serio swoich studiów. W ogóle wtedy wydawało mi się, iż niczego nie potrafisz traktować poważnie. Ale widzę, że cię nie doceniłem. Tymczasem nie zasypiałaś gruszek w popiele. Więc dobrze, opowiem ci resztę.

— Teraz nie czas na romanse — przerwał im senior Espinoza i uśmiechnął się do nich. W rękach trzymał duży półmisek z mięsem. — Najpierw jedzenie, potem kochanie — dorzucił chytrze i postawił półmisek na stoliku.

Goście przy stoliku obok zaśmiali się słysząc tę jego uwagę, a zażenowana Diana nie wiedziała, w którą stronę ma patrzeć.

Jednak po chwili gospodarz odwrócił jej uwagęomalże rytualnym sposobem dzielenia mięsa, które przyniósł i własnoręcznie im nałożył.

Przez jakiś czas całkowicie skoncentrowali się na jedze-

niu, ale potem Diana poprosiła Marka, by opowiedział wszystko do końca.

No, niewiele zostało do opowiadania — zaczął. — Okazało się, że te dziwne formy i struktury, o których przedtem mówiłaś, nie są niczym innym, jak tylko siecią dawnych dróg i kanałów, dzięki czemu stało się jasne, że stare plemiona najprawdopodobniej były w stanie kontaktować się ze sobą i w żadnym razie nie żyły w odizolowaniu.

Diana zaraziła się entuzjazmem Marka, gdy opowiadał dnlszy ciąg historii.

— W tym czasie Peter Simmons wraz z zespołem archeologów zajęty był analizą wykopalisk, odkrytych podczas budowy metra w Mexico City: Niespodziewanie znalazł wiele podobieństw z przedmiotami, które znaleźliśmy na Jukatanie. Natychmiast wtedy do mnie zadzwonił...

— I jeżeli uda ci się wykryć jeszcze inne podobieństwa, to wzmocni to twoją teorię, że wszystkie plemiona Meksyku miały ze sobą powiązania, a nie tylko te na Jukatanie — uprzedziła go Diana.

— Tak, albo muszę znaleźć przynajmniej tyle dowodów, żeby zapewnić dalsze dofinansowanie na sfinalizowanie programu. Jeżeli w najbliższym czasie nie posuniemy się z tym znacznie do przodu, to braknie nam pieniędzy na doprowadzenie prac do końca.

— O nie, tak się nie może stać! — zawołała Diana spontanicznie. — Nie możecie przecież teraz przerwać!

Mark przyglądał się jej badawczo. — Naprawdę tak cię to interesuje? — zapytał.

— Naturalnie. Uważam, że to wszystko jest szalenie ciekawe i tajemnicze.

— Prawdziwą tajemnicą jest to — powiedział Mark wskazując na pusty talerz Diany — jak taka mała dziewczynka jak ty jest w stanie wsunąć takie ogromne ilości.

Lila Leonard

— Jedzenie było po prostu za dobre, by coś zostawić — odparła śmiejąc się. — Myślę jednak, że teraz mogłabym przez wiele dni nic nie jeść.

— Ach, to tylko kwestia ćwiczeń — stwierdził Mark i też się zaśmiał.

Niedługo potem pożegnali się serdecznie z senorem Espinoza i wyszli ręką w rękę na oświetlone światłem księżycy ulice Mexico City.

Było o wiele chłodniej niż w dusznej restauracji, więc Diana mocniej owinęła ramiona chustą.

— Zimno ci — powiedział Mark i przyciągnął ją bliżej do siebie.

— Och, to tylko różnica z duchotą w restauracji — odpowiedziała, przytulając się jednak do Marka, od którego jakby promieniowało przyjemne ciepło.

— Ja się cieszę, że noce są jeszcze chłodne — powiedział Mark. — Za dwa* miesiące zacznie się pora deszczowa i wtedy będzie już tylko wilgotno i gorąco.

Wolno szli spacerem wzdłuż Paseo de la Reforma. Okazałe budynki i rozłożyste drzewa skapane były w srebrnej poświacie.

Na niewielkim placu Mark i Diana zatrzymali się przed fontanną.

— Nosi twoje imię — powiedział Mark. — To fontanna Diany. Ładna, prawda? — chwycił Dianę pod brodę i przyglądał się jej. Następnie cicho dodał: — Ale dużo brakuje jej do twojej urody.

Diana przez chwilę milczała. Była zmieszana i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Pozostała uprzejma i z rezerwą, założyła sobie. Zmieniła więc prędko temat prosząc: — Opowiedz mi coś jeszcze o innych członkach zespołu.

— O Peterze Simmonsie już ci mówiłem. To naprawdę wspaniały technik. Oprócz tego ma duży talent organiza-

torski. Dwoje pozostałych to małżeństwo Katanich. Doktor Katani i jego żona to taki „małżeński zespół”, podobnie jak twoi rodzice. Katani jest świetnym lingwistą, a jego żona Tina światowej sławy ekspertem od ceramiki. Pracowaliśmy już razem przy innych programach. Można powiedzieć, że tworzymy w czwórkę jak gdyby rodzinę. — Widząc zaszępiony wyraz twarzy Diany, pocieszył ją: — **Nie** martw się. Na pewno będziesz do nas dobrze pasować.

Następnie zrobił szeroki gest ręką.

— Jeżeli chcesz, możesz tu przyjść jutro na zakupy.

Dopiero teraz Diana dostrzegła pełno wystaw sklepowych. Na szyldach nad wejściem do sklepów widniały la kie nazwiska, jak Cartier, Gucci, Lacoste, a także nazwy innych, znanych w świecie firm.

— Nie, dziękuję. Nie ja. Dużo z tych sklepów to i tak tylko nazwy. W rzeczywistości nie mają nic wspólnego z tymi prawdziwymi producentami. A ja za mało znam się na tym, żeby stwierdzić różnicę w towarze.

— Skąd u ciebie ta mądrość? — zapytał Mark z lekką ironią.

— Podczas lotu rozmawiałam trochę ze stewardesą i ona mi o tym powiedziała — odparła Diana. — A poza **tym** — dodała — nie interesuje mnie droga biżuteria. **Jeżeli** już noszę jakieś ozdoby, to te, które należały do mojej mamy, i to mi właściwie "wystarczy.

— Masz w zanadrzu naprawdę parę niespodzianek — stwierdził żartobliwie Mark, a Diana nie była pewna, czy sobie z niej żartuje, czy mówi poważnie.

Spacerowali dalej, przez Avenida de los Insurgentes, i rozmawiali żywo o programach badawczych, w których wcześniej uczestniczył Mark.

Mark doprowadził ją parę razy do śmiechu, opowiadając historyjki o nieporozumieniach lub komicznych zdarzeniach.

Lila Leonard

Ale Diana zauważyła, że jego humor bywa też zjadliwie ostry, a także to, iż prócz małżeństwa Katanich i Petera w jego opowiadaniach nie występował nikt, kogo można by zaliczyć do asystentek — faworytek.

Gdy doszli do następnego placu, do uszu ich wdarła się głośna muzyka. Było to ulubione miejsce spotkań artystów. Między innymi przychodzili tu uliczni muzykanci.

Mark i Diana wędrowali od jednej grupy muzycznej do następnej, podziwiali kolorowe stroje ludowe i nieznanne instrumenty i oczywiście słuchali piosenek. Melodie były często sentymentalne, i mimo że Diana prawie nie rozumiała tekstów, to najczęściej domyślała się, o czym piosenka opowiada, tak wyraziste były miny i gesty muzyków.

Na placu panował niesamowity zgiełk. Śpiewano, śmiano się, rozmawiano, a w różnych miejscach nawet tańczono.

Diana obserwowała ten kolorowa rozgardiasz szeroko otwartymi oczami. Często nie wiedziała, w którą stronę ma patrzeć najpierw, tyle działał się dookoła.

Mark objął ją ręką w pasie i przycisnął do siebie..— Musisz być szalenie zmęczona. Wlokłem cię przez pół miasta.

— Ale było przyjemnie — zapewniła go Diana. — Mimo to, nie miałabym nic przeciw temu, żebyśmy usiedli gdzieś w zaciszu i trochę odpoczęli — powiedziała, rzucając wzrokiem po licznych kawiarniach z boku placu.

— Żaden problem — powiedział Mark i zaprowadził ją przez tłum do kawiarni, gdzie znaleźli jeszcze wolny stolik w pobliżu przepełnionego po brzegi parkietu tanecznego.

Mark zamówił dla Diany *tequila sunrise*. Gdy próbowała zaprotestować, podniósł rękę i uciął sprawę mówiąc: — W Meksyku wszyscy piją tequilę. Najlepiej będzie, jeżeli się od razu do tego przyzwyczaisz.

Właściwie Diana nie miała zamiaru przyzwyczajać się do tequili, ale była zbyt zmęczona, żeby długo dyskutować, i zaakceptowała napój bez dalszego sprzeciwu.

Zauważyła, że wzrok Marka co chwilę wędrował w kierunku parkietu, skąd dochodziły gorące meksykańskie rytmy.

Nie potrafiło długo, gdy nagle odsunął swoje krzesło powiedział: — No, mam nadzieję, że odpoczęłaś już dostatecznie, by zaryzykować taniec ze mną.

Wziął Dianę za rękę i wyszli na parkiet. Zanim Diana się obejrzała, była już w jego ramionach, pośród innych par, poruszających się w rytm muzyki.

Trzymała się prosto, a jej ręka zaledwie dotykała ramienia Marka. Delikatnym kołysaniem ciała poddawała się muzyce. Przez cały taniec milczeli i gdy muzyka się skończyła, odetchnęła. Wrócili do stolika i Diana jednym haustem opróżniła swój kieliszek, z jednej strony z powodu pragnienia, a z drugiej, by ukryć zażenowanie.

— Twój sposób tańczenia jest typowo amerykański — powiedział zniechęca Mark.

Diana zaskoczona zmarszczyła czoło i rzuciła mu pytające spojrzenie.

— Chodzi mi o to, że nie masz wyczucia tego szczególnego rytmu muzyki latynoskiej. Kołyszysz się tylko w bioach, podczas gdy cały ruch pochodzi od kolan.

Twarz Diany pałała złością i jej wybuch gniewu nie był jedynie efektem wypitej tequili: — Nigdy nie twierdziłam, że dobrze tańczę. A ty wcale nie zapytałeś mnie, czy mam ochotę zatańczyć z tobą.

Powiedziawszy to podniosła się, dając do zrozumienia, że jest gotowa opuścić kawiarnię. Mark wstał także. W jego wzroku widać było skrywane zdziwienie. Jednak zamiast wyjść z Dianą z kawiarni, pociągnął ją jeszcze raz

Lila Leonard

na parkiet, tym razem jednak nie pozwalając na jakikolwiek dystans między ich ciałami. Lewą ręką objął ją w talii i przycisnął do siebie, a jego prawa ręka spoczywała na jej biodrze.

Diana miała wrażenie, że nie może poruszyć się nawet na centymetr, z takim zażenowaniem reagowała na bliskość Marka. Czuła, jakby rozniecił w niej żar.

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko posłusznie przytulić się do niego. Stopy jej bez stawiania oporu podążały za jego tanecznym krokiem, jak gdyby zaczęły żyć swoim własnym życiem. Prowadzona przez Marka między innymi tańczącymi parami, poruszała się lekko i swobodnie w rytm muzyki.

Gdy dźwięki muzyki ucichły, Diana odurzona stała przez moment bez ruchu.

— Cudownie tańczysz — szepnął jej do ucha Mark. — Cudownie, to za mało powiedziane.

Wzrok jego powędrował po jej zaczerwienionych policzkach i błyszczących oczach. Kosmyk miedzianych włosów opadł jej na czoło.

— Myślę, że jesteś po prostu dobrym nauczycielem — odparła Diana śmiejąc się. Zapomniała już o wcześniejszym gniewie.

Mark przywołał taksówkę i usiedli razem na tylnym siedzeniu. Diana rozluźniona oparła się wygodnie w fotelu i rozkoszowała się spokojem.

Po chwili zaczęła przyglądać się z boku Markowi. Patrzył prosto przed siebie i miał lekko zamyślony wyraz twarzy.

Czy właściwie kiedykolwiek znałam go dobrze, przeszło jej przez myśl. Wywołała z pamięci obraz Marka Harrisona, studenta, który prawie przez rok mieszkał z nią pod wspólnym dachem i zawsze z wyższością wyśmiewał jej styl życia. A mimo to, od czasu do czasu przeskakiwały

między nimi isierki, pierwsze oznaki siły przyciągania. wtedy Mark nagle wyjechał.

Teraz niespodziewanie wkroczył znowu w jej życie, i to w momencie, kiedy najmniej się tego spodziewała.

W żadnym wypadku nie kwestionowała jego autorytetu, jak też nie miała wątpliwości, że zrobi wszystko, by pomóc mu w osiągnięciu sukcesu w jego pracy badawczej.

Przy tym wszystkim Diana jednakże nie mogła zaprzeczyć, że ich pociąg do siebie był silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

A może Mark był po prostu tylko playboyem, który tym razem zagiął parol na nią? Nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Westchnęła, gdy samochód skręcił na podjazd do hotelu.

— Zmęczona? — spytał Mark.

— Tak, trochę — przyznała. Nie zastanawiając się długo, zdjęła niewygodne sandały i boso przeszła po zimnych, kamiennych płytach hotelowego hallu.

Gdy podeszli do windy, zobaczyli windziarza, najspokojniej w świecie śpiącego na siedząco. Jak dwoje dzieci z uknutym tajemniczym planem, cicho chichocząc i trzymając się za ręce, pobiegli na palcach w górę po schodach.

W pewnej chwili Mark zuchwale objął Dianę ramieniem i podniósł ją do góry, chcąc przez ostatnie stopnie i korytarz zanieść ją na rękach do drzwi jej pokoju.

— Wszystkim naszym gościom zapewniamy pełną osobistą obsługę — powiedział śmiertelnie poważnie.

Diana przytrzymała go za szyję i zaśmiała się. Twarz Marka była bliziotko przy niej.

Nagle wyraz jego oczu zmienił się. Gdy przycisnął ją mocno do siebie, stały się nieco ciemniejsze.

— Dianko — poczuła jego usta tuż przy swoim uchu.

Tymczasem znaleźli się przed jej pokojem. Mark postawił ją ostrożnie na podłogę.

Lila Leonard

— Klucz... jest tutaj — powiedziała drżącym głosem, grzebiąc nerwowo w torebce. Otworzyła drzwi, a Mark stanął z boku, pozwalając jej wejść.

Był tuż za nią, gdy zapalała światło. — Diano — wyszeptał znowu.

Odsunęła się o krok od niego w obawie, że mógłby usłyszeć bicie jej serca. Ale Mark podszedł do niej i w chwilę później była już w jego objęciach.

Poczuła jego usta na swojej szyi i zwróciła do niego twarz. Jego usta znalazły jej wargi i wtedy Diana odwzajemniła pocałunek z taką namiętnością, jakiej się po sobie nie spodziewała. Ogarnęło ją gorące pożądanie. Wyprężyła ciało, tuląc się do niego, a palcami przesuwała po jego ciemnych włosach. Mark pogładził ją rękami od ramion do bioder i ponownie podniósł ją do góry.

Jego namiętny, wyzywający pocałunek działał na nią jak czar. Diana niewyraźnie, jak przez sen zorientowała się, że poruszają się powoli w kierunku łóżka. Boże, tylko nie to, pomyślała.

Nagle jej oczy zrobiły się wielkie ze strachu. — Mark! — gwałtownie uwolniła się od niego i odepchnęła rękami od jego piersi.

Mark patrzył na nią zdziwiony. Pozwolił jej osunąć się powoli na podłogę i powiedział ochrypłym głosem: — Przepraszam. Myślałem...

Nie dokończył zdania, tylko pokiwał głową, jakby z trudem zaczynał rozumieć. Następnie powiedział już normalnym, kontrolowanym głosem:

— Zadzwoń do ciebie rano, dobrze? Śpij spokojnie i niech ci się przyśni coś ładnego. A więc do jutra, dobranoc.

Diana usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Co ją napadło? Co sobie Mark o niej pomyśli? Jak spojrzę mu rano w twarz?

Lato z Markiem

Kręciło jej się od tego wszystkiego w głowie, a serce czuła aż w gardle.

Jak w transie rozebrała się i wślizgnęła pod narzutę. Nie minęło kilka minut, a wyczerpana pogrążyła się w głębokim śnie.

5

Ostre dzwonienie telefonu przenikało do świadomości Diany najpierw jako przytłumiony, niewyraźny dźwięk, który stopniowo jednak stawał się ostry i przenikliwy. Zaspana podniosła słuchawkę. Usłyszała kobiecy głos: — Dzień dobry, panno Larkin. Tutaj recepcja. Pan Harrisoh prosił, żeby pani przekazać, iż oczekuje panią za pół godziny na dole, na tarasie.

— Tak, dziękuję — odpowiedziała Diana i odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę leżała jeszcze rozmyślając. Potem przemo-gła się jednak i wstała z łóżka. Usiłowała nie myśleć, że wkrótce będzie musiała stanąć naprzeciw Marka, lecz zastanawiała się, co ma na siebie włożyć.

Po orzeźwiający natrysku stała przez jakiś czas niezdecydowana przed szafą, w końcu jednak postanowiła dla ułatwienia sprawy włożyć sukienkę, którą nosiła poprzedniego wieczoru.

Zdjęła torebkę z oparcia krzesła, zamknęła za sobą drzwi i powoli zesza schodami na dół. Gdy szła długim korytarzem, twarz jej oblała się rumieńcem. Co chwilę przychodziła jej na myśl ostatnia noc, objęcia Marka i jego namiętne pocałunki. Ciagle nie wiedziała, jak ma się wobec niego zachować.

Gdy znalazła się w ogrodzie, Mark zobaczył ją z daleka i pomachał do niej ręką. Podniósł się z miejsca i czekał, aż Diana podejdzie do stolika. Przywitał ją uprzejmie, ale dość oficjalnie i powiedział: — Zamówiłem już śniadanie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

— O, to miło z twojej strony. Dziękuję. — Diana ucieszyła się, że kawa już na nią czeka. Wypiła łyk, starając się zatuszować zażenowanie.

Podszedł do nich kelner z tacą i podał im obfite śniadanie. Gdy oboje mieli już talerze napełnione świeżymi tortillami i meksykańskim serem, Mark powiedział: — Właściwie planowałem dziś rano pójść z tobą do muzeum antropologii, o ile oczywiście miałabyś ochotę, ale gdy wczoraj w nocy wróciłem do pokoju, czekała tam dla mnie wiadomość, że Liz van Dorn przyjeżdża wcześniej, niż to było umówione. Obawiam się, że nie pozostanie nam nic innego, jak tylko zaraz po śniadaniu spakować nasze rzeczy i jechać na lotnisko.

Diana powoli pozbywała się nieśmiałości, a teraz, gdy ciekawość jej została rozbudzona, nie mogła sobie odmówić pytania: — A potem pojedziemy od razu do obozu?

— Tak. Liz bardzo nalega, żeby zwiedzić obóz, a i ja **jak** najszybciej chciałbym wrócić do pracy.

Wierzę, że chcesz jak najprędzej wrócić do pracy, po wczorajszej wpadce, pomyślała Diana w duchu. Ale właściwie nie powinno ci było zależeć na wciągnięciu mnie na listę swoich: zdobyczy. Jesteś przecież i tak przyzwyczajony do lepszych kąsków.

W milczeniu skończyli śniadanie i przeszli przez ogród, wracając do hotelu. Jak bardzo wszystko wyglądało inaczej niż wczoraj! Zamiast chłodnej, aksamitnej ciemności, teraz wszystkco tonęło w jaskrawym słonecznym świetle i trwała krzątanina jak w ulu.

Lila Leonard

Windziarz otworzył im drzwi z zadowolonym uśmiechem. W ciasnej kabinie bacznie unikali najmniejszego nawet dotyku.

O ile smutniejszy jest dzisiejszy nastrój w porównaniu ze swobodą wczorajszej nocy, pomyślała Diana ze smutkiem.

Jak gdyby czytając jej myśli, Mark powiedział nagle: — To, co się zdarzyło wczorajszej nocy było trochę niefortunne. Sądzę, że kombinacji muzyki, tequila i wszystkich wrażeń, które cię zaatakowały przypisać trzeba, że do tego doszło. Masz moje słowo, że to się nie powtórzy. Musimy się skoncentrować na pracy, która nas czeka, a nie będzie tego mało. Ja...

Przerwał i spojrzał badawczo na twarz Diany. Ponieważ nie przyszło jej nic innego do głowy, powiedziała tylko: — Okay, masz rację.

Mark ciągle się w nią wpatrywał tak osobliwie, że nie mogła pozbyć się wrażenia, że nie powiedział jeszcze wszystkiego.

Po chwili jednak tylko zapytał: — Sądysz, że wystarczy ci godzina na przygotowanie się?

Ton jego głosu miał w sobie coś wyzywającego, ale Diana nie była w stanie tego dociekać. Skinęła tylko głową i bez słowa zniknęła w swoim pokoju, głośno zamykając za sobą drzwi. Z wściekłością cisnęła torebkę na łóżko. — Niefortunne! — wybuchnęła. — Niefortunne — i to wszystko, co miał do powiedzenia na temat wydarzeń ostatniej nocy!

W gniewie zgarnęła niedbale sukienki, i resztę rzeczy i wcisnęła to wszystko, jak popadło, do torby, aż ta wypełniła się po brzegi.

Nie minął kwadrans, gdy Diana podniosła słuchawkę, zadzwoniła do Marka i zakomunikowała mu, że jest gotowa do odjazdu.

Kilka minut później do jej pokoju przyszedł Mark z lekkim workiem podróznym przewieszonym przez ramię. Wziął bagaż Diany i milcząc zeszli razem na dół.

Landrover gotowy do drogi stał już przed wejściem. Podczas gdy Mark wkładał bagaże, Diana usiadła w samochodzie i czekała.

Słońce świeciło jasno i niebo było bezchmurne, jak poprzedniego dnia. Krajobraz wyglądał jeszcze piękniej. Jednak jazda na lotnisko odbywała się w ponurej atmosferze. Mark mówił niewiele. Patrzył prosto przed siebie, na szosę. Kierownica spokojnie i pewnie spoczywała w jego rękach.

Mimowolnie Diana przypomniała sobie, jak było cudownie, gdy te ręce głaskały ją i pieściły.

Przyjechałaś tu, by pracować, upomniała siebie surowo, a nie po to, by wdawać się w jakieś afery z Markiem Harrisonem.

Na lotnisku nie musieli długo czekać na przybycie Liz. Byli dopiero kilka minut na terminalu, gdy Diana w potoku ludzi, płynącym przez szklane drzwi od strony cła ujrzała wysoką, jasnowłosą młodą kobietę.

Ciemny płaszcz, jaki miała na sobie, stwarzał korzystny kontrast dla jej długich blond włosów. Oczy kobiety ukryte były za przesadnie dużymi okularami słonecznymi ze szklami w kolorze niebieskim.

Potrwało chwilę, zanim Liz ich dostrzegła. Pomachała do nich i ruszyła w ich kierunku.

Gdy stali naprzeciw siebie, posłała Markowi promienny uśmiech. — Mark, kochanie, szalenie się cieszę, że cię znowu widzę! — wyszeptała lekko zachrypniętym głosem.

Diana spojrzała na Marka, który stał obok niej jak skamieniały. Nie czynił żadnych prób, żeby odwzajemnić się Liz równie egzaltowanym powitaniem. Nie okazał też emocji, gdy Liz odstawiła swoją torbę i gwałtownie zaczęła go ściskać i obcałowywać.

Lila Leonard

Wreszcie puściła go i popatrzyła na niego pytająco: — Powiedz, nie cieszysz się wcale, że mnie znowu widzisz?

— Oczywiście, że się cieszę — powiedział Mark bez entuzjazmu. — Posłuchaj, Liz, ten płaszcz jest po prostu śmieszny przy temperaturze, jaką tu mamy.

— Gdy wyjeżdżałam ze Stanów, było całkiem chłodno i będzie zimno, jak będę wracać — usprawiedliwiła się.

Następnie położyła wążką, ozdobioną licznymi pierścionkami dłoń na ramieniu Marka.

— Dlatego też lecę do Acapulco — stanęła na palcach i była wtedy prawie tak wysoka, jak Mark. Potarła nosem o nos Marka i zapytała żalotnie: — Nie miałbyś ochoty pojechać ze mną?

— Nie ośmieszaj się — odpowiedział szorstko Mark. Następnie schylił się po jej torbę. — Nie jest to chyba twój cały bagaż?

— Oczywiście że nie. Resztę musimy odebrać — odparła patrząc z wyższością w kierunku Diany.

To był pierwszy moment, w którym w ogóle zwróciła uwagę na to, że Mark nie jest sam.

— Tutaj mam tylko biżuterię i kosmetyki — poinformowała, wskazując na torbę. — Nigdy się z tym nie rozstaję.

Zdecydowanym ruchem głowy strząsnęła jasne włosy z twarzy.

Mark przedstawił jej Dianę jako swoją współpracownicę, a Liz nazwał po prostu przyjaciółką. Na te słowa Liz znowu położyła mu rękę na ramieniu i dwuznacznie uniosła jedną brew do góry.

— Jeszcze nie koniec? — zapytał Mark ze stoickim spokojem, zabierając z przerośnika taśmowego trzecią elegancką, skózaną walizkę i postawił ją obok dwu innych dokładnie dopasowanych do siebie kolorem.

— Och, kochanie, jeszcze tylko jedna — zachichotała i pokazała na transporter. — O, widzisz, jest już tutaj!

Mark zdjął i tę, i załadował wszystko na wózek bagażowy. — No, to chodźmy na parking — zdecydował i ruszył wielkimi krokami, pchając przed sobą wózek.

— Może pomóc pani nieść torbę? — zaoferowała Diana.

— Dziękuję, nie trzeba — powiedziała Liz krótko, a następnie spytała: — Niech mi pani powie, czy z Markiem jest coś nie w porządku?

— Nie wiem dokładnie — odparła Diana. — Myślę, że bardzo zależy mu na tym, żeby jak najszybciej wrócić do pracy.

— Dlatego też przyjechałam tak wcześnie — Liz uderzyła w popały ton. — Jedyne, o czym myśli, to praca, praca i jeszcze raz praca. Mam nadzieję, że uda mi się namówić go na spędzenie ze mną paru beztróskich dni w Acapulco.

Diana powstrzymała się od odpowiedzi. Tymczasem doszli do landrovera. Mark umieścił walizki w samochodzie i wyciągnął rękę, by odebrać od Liz płaszcz.

— A co to za kuriozum? — zapytała, wyprostowanym palcem wskazując na landrover.

— To jest samochód, jak widzisz. A dokładnie, brytyjski landrover — wyjaśnił Mark lekko ironicznym tonem. Następnie obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

— Mark — zawołała Liz i popatrzyła na niego bezradnym wzrokiem.

— No, chodź już, Liz — powiedział nieco łagodniej. — Wsiadaj, jesteś wystarczająco duża.

Diana, której przez ten czas jakby nie dostrzegano, zajęła miejsce z tyłu i patrzyła, jak Liz z gracją sadowi się na przednim siedzeniu.

Mark i Liz stanowią idealną parę, myślała Diana, patrząc na siedzących przed nią.

Lila Leonard

Gdy pędzili szosą szybkiego ruchu, Liz bez przerwy zagadywała Marka, a przy każdym skręcie w prawo wpadała na niego.

Nagle w głowie Diany zaświtało. Oczywiście, to Liz van Dorn była dziewczyną, którą często widywała w gazetach, na zdjęciach obok Marka. To nikt inny tylko Liz! Nic dziwnego, że wydała jej się znajoma! Nic też dziwnego, że Mark trudził się, by osobiście odebrać ją z lotniska!

Nagle stało się dla niej jasne, dlaczego Mark tuż przed przyjazdem Liz zdarzenia ostatniej nocy określił jako „niefortunne”.

Diana zacisnęła usta i do końca jazdy nie odezwała się ani słowem.

6

Po około półtoragodzinnej jeździe byli w Cholula, które pełne było turystów, chcących podziwiać olbrzymią piramidę słońca w Teotihuacan. Gdy przejeżdżali przez miasto, Mark wyjaśnił, że liczne kościoły zbudowano tu na miejscu dawnych świątyń, zburzonych przez Hiszpan.

Diana miała ogromną ochotę na zrobienie przerwy w podróży i przyjrzenie się paru rzeczom, ale Mark obstawał przy tym, by jak najprędzej znaleźć się w obozie.

Po pół godzinie dalszej jazdy zjechali z asfaltowej szosy w boczną drogę. Liz bez przerwy skarżyła się na niedogodności złej nawierzchni oraz na nieznośny upał.

Diana zaczęła już się bać, że pomylili kierunek, bowiem miała wrażenie, iż Mark bardziej kieruje się wyuczuciem niż mapą.

Po chwili znowu skręcili ostro w bok i mila po mili posuwali się po wyboistym szlaku pofałdowanego płaskowyzu. Nagle Mark gwałtownym naciśnięciem pedału hamulca zatrzymał landrover, wzbijając w powietrze tumany kurzu.

— Co znowu się stało? — narzekała Liz. — Mark, jak tak dalej będziesz prowadził, to zaraz wysiadam.

Mark prędko ją przeprosił i wyjaśnił: — Zdaje mi się,

Lila Leonard

że nasi wczoraj rozpoczęli pracę w nowym miejscu. Nie chciałem uszkodzić kamer.

Niedaleko od nich ustawiono na statywach dwie kamery. Teren pomiędzy nimi oznaczony był czerwonymi drążkami. Z tyłu stał, minibus z otwartymi drzwiami. Dookoła leżały porozrzucane łopaty i kilofy.

Reszta robiła wrażenie jako tako zorganizowanego chaosu. Dwie prowizorycznie zbite z desek i belek konstrukcje służyły prawdopodobnie jako stoły robocze.

Przy jednym ze stołów siedziała kobieta z krótko ostrzyżonymi, siwymi, włosami, skupiona na usuwaniu za pomocą pędzla brudu i kurzu z różnych elementów ceramiki, leżących przed nią.

Na drugim stole piętrzyły się kolorowe stosiki płytek mozaikowych. Przed nimi siedział bardzo młody mężczyzna i dokładnie kopiował wzory na dużym arkuszu papieru.

Nieco dalej, na okruchu skalnym, siedział niewysoki mężczyzna z czarnymi jak węgiel włosami, otoczony grupą Indian, którzy żywo gestykulując przekrzykiwali się wzajemnie. Obrazu dopełniały stojące nieruchomo w cieniu, niskich krzewów dwa brudne osły. Po obu stronach ich grzbietów zwisały skórzane juki.

Młody mężczyzna, załadowujący je właśnie, obejrzał się na odgłos silnika landrovera. Był wysoki i szczupły. Miał na sobie sprane, ucięte džinsy i wypłowiałą niebieską koszulę bawełnianą.

— Mark! — zawołał ucieszony i podbiegł do Marka, gdy ten wychodził z samochodu.

— Peter! — krzyknął Mark. Przywitali się serdecznym uściskiem, wyraźnie zadowoleni, że się znowu widzą.

Następnie Peter obejrzał się do tyłu. — "Halo, Liz — powiedział, wyciągając rękę na powitanie, a jednocześnie pomagając jej wysiąść.

— Peter — zawołała uradowana Liz. — Cudownie

widzieć cię znowu!— pocałowała go po przyjacielsku w policzek.

Diana chciała właśnie wyskoczyć z samochodu, gdy dwie mocne ręce bez trudu pomogły jej znaleźć się na ziemi.

— Nie jesteś dość duża, żeby zejść bez kłopotu — powiedział stanowczo Mark, stawiając ją delikatnie na nogi.

Peter przez moment z zaciekawieniem przyglądał się Dianie, a następnie wyciągnął do niej rękę. — Założę się, że jesteś Diana Larkin — powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Diana potrząsnęła jego dłonią. — A pan z pewnością nazywa się Peter Simmons.

— Skąd ta pewność? Czy to jest gdzieś napisane? — zapytał Peter śmiejąc się i niewinnie spoglądając po sobie. — A poza tym, tutaj wszyscy mówimy sobie po imieniu, tak jest prościej, rozumiesz?

Gdy Diana zastanawiała się, co odpowiedzieć na taką bezpośrednią propozycję Petera, wmieszała się Liz: — Na pewno przyzwyczaisz się do niego, Diano. Ma wprawdzie upodobanie w pouczaniu innych, ale poza tym jest poczciwy i niegroźny. — Następnie zwróciła się do Marka: — Przecież obiecałeś pokazać mi wszystko.

— Zgoda — powiedział Mark. Objął ją ramieniem w talii i poszedł z nią w kierunku w dalszym ciągu żywo dyskutujących mężczyzn.

— Pójdziemy za nimi? — zapytał Peter, z komicznym ukłonem oferując Dianie ramię.

— Tak, czemu nie? — odpowiedziała i wesoło gawędząc udali się za Markiem i Liz.

Gdy doszli już prawie do grupy Indian, dostrzegł ich niski czarnowłosy mężczyzna. Radośnie zerwał się na nogi.

— Halo, Mark. Dobrze, że już jesteś z powrotem —

Lila Leonard

powiedział i uściśnął Marka. — Ci mężczyźni opowiadają tu niesamowite historie. Wszyscy oni pochodzą z różnych plemion...

— Profesorze Katani — przerwał mu grzecznie, ale stanowczo Mark. — Mamy gości — oznajmił, wskazując na Dianę i Liz. Dopiero teraz profesor zauważył, że Mark był w towarzystwie.

— Gości? — powtórzył, nic nie rozumiejąc.

— No, Liz van Dorn już pan zna — powiedział Mark. Następnie pokazał na Dianę. — A to jest Diana Larkin, nasza nowa koleżanka. Będzie nam pomagać analizować i porządkować freski ze świątyni.

— To pięknie — profesor Katani podał Dianie rękę. — Zobaczy pani, jest dużo roboty. No, ale teraz koniecznie muszę opowiedzieć ci o dialektach — powiedział, zwracając się, z powrotem do Marka. Nie przejmując się innymi, wziął Marka za ramię i pociągnął za sobą, bez przerwy coś mu opowiadając.

Mark spojrzął przez ramię na Petera i zrobił do niego oko na co Peter wyrozumiale uśmiechnął się i powiedział: — No, moje szanowne panie, w takim razie będziecie się musiały tymczasem zadowolić moim towarzystwem.

Wziął je pod rękę i razem podeszli do profesora Kataniego i Marka, którzy stanęli przy stole, gdzie siwowłosa kobieta w dalszym ciągu zajęta była czyszczeniem ceramiki za pomocą pędzla.

— Tina — powiedział Henry Katani. — Mark wrócił.

— Właśnie widzę — odpowiedziała kobieta, uśmiechając się znad swojej pracy. — Widzę też, że mamy gości.

— Tak, to prawda — wymamrotał Henry z lekka zniecierpliwiony. — Ale tylko jedna z nich ma związek z naszą pracą. Właśnie opowiadałem Markowi, że...

Tina Katani odłożyła pędzel i przenikliwie spojrzała na

męża. — Sądzę, że teraz nie jest najwłaściwszy moment na omawianie nowości — powiedziała, uśmiechając się do Liz i Diany. — Przeciwnie, już jest prawie pora lunchu.

Podniosła się i odeszła z mężem w stronę małego namiotu, rozbitego na drugim końcu placu.

— Mark! — marudziła Liz. — Obiecałeś, że wszystko mi pokażesz!

— Jesteś pewna, że nie powiedział czegoś odwrotnego? — zapytał Peter z obłudnym uśmiechem.

Diana popatrzyła na niego zaskoczona, ale Liz wydawała się zupełnie go ignorować.

— To chwilowo naprawdę wszystko, co jest do zobaczenia — powiedział Mark, wzruszając ramionami. — Tina zajmowała się akurat czyszczeniem kawałków ceramiki, żeby móc je zidentyfikować. — Podszedł do drugiego stołu, przy którym siedział młody mężczyzna i rysował. — Pozwólcie, że przedstawię wam Juana Saenzę. To- nasz bardzo ważny współpracownik, mimo że właśnie dopiero skończył szesnaście lat.

Chłopiec podniósł wzrok i nieśmiało się uśmiechnął.

— Juan — kontynuował Mark — to jest Diana Larkin. Będzie odpowiedzialna za klasyfikację fresków. — Juan popatrzył niepewnie na Dianę. — Juan bardzo dobrze wykonuje swoją pracę — powiedział z uznaniem Mark. — Doszliśmy do wniosku, że bezpieczniej będzie zlecić narysowanie wszystkich wzorów mozaik i jak najwięcej pracować na podstawie tych rysunków.

— O tak, widzę już, te wzory są...

. Diana nie zdołała powiedzieć nic więcej, gdyż Liza przerwała jej głośno: — A co to jest? — pokazała palcem na żółtą, dziwaczną maszynę, stojącą obok namiotu. Było to coś pośredniego między dźwigiem budowlanym a pługiem śnieżnym.

— Ta maszyna pomaga nam przy wykopaliskach. To

Lila Leonard

najnowszy nabytek naszego wyposażenia, a już okazał się bardzo przydatny — Mark okazał nagle prawdziwy entuzjazm. — Ponieważ prowadzimy wykopaliska, jest dla nas bardzo ważny. Peter jest jedynym człowiekiem, który umie się z tym właściwie obchodzić. Możemy odkrywać dzięki temu dużo większe powierzchnie, niż gdybyśmy...

— O Boże, Mark! — wpadła mu w słowo Liz. — Oszczędź mi, proszę, tych wszystkich szczegółów. Chciałam się tylko dowiedzieć, co to jest.

Diana była pewna, że Mark odpowie ostro i patrząc na niego w napięciu czekała, co będzie dalej. Jednak zamiast kąśliwej reakcji, Mark wykrzywił nieco usta i powiedział: — Proponuję, żebyśmy poszli teraz do namiotu i sprawdzili, co jest na lunch.

Wszyscy oczywiście zgodzili się.

Namiot wyposażony był skromnie. Stał tam stary stolik do brydża i składane krzesła obleczone lnianym płótnem. Na stole stały dwa duże termosy z wodą, a obok stos plastikowych filiżanek.

W torbie chłodniczej znajdowały się kanapki z serem i owoce. Małżeństwo Katanich siedziało już przy stole. Każde z nich miało przed sobą połówkę mango.

Peter napełnił filiżanki wodą i powiedział: — Obsłużcie się. Nie jest to być może zbyt urozmaicone danie, ale na przekąskę wystarczy.

— To wszystko? — Liz zmarszczyła nos. Rozczarowanym wzrokiem powędrowała po namiocie.

— Obawiam się, że tak — powiedział Mark. — To nie są typowe wykopaliska. Pracujemy głównie na podstawie wzorów przysłanych nam z wykopalisk w Mexico City i porównujemy je z moimi znaleziskami z Jukataniu. Ale za kilka dni zaczniemy i tutaj kopać. A Peter — prowokacyjnie uśmiechnął się do kolegi — Pe-

ter będzie masowo wydobywać dowody potwierdzające moją teorię.

Liz westchnęła głośno. Mark odwrócił się do niej.

— Powiedz, dlaczego nie pójdziesz do szkoły i nie odpoczniesz trochę? — zaproponował.

— Do szkoły? — powtórzyła Liz sceptycznie.

— Tak, tam jest nasza właściwa kwatera. Zobaczysz, da się wytrzymać. Maria zrobi ci coś porządnego do jedzenia, a potem będziesz mogła się położyć.

— Niezły pomysł — powiedziała Liz z ulgą.

— Diano, czy ty też chciałabyś odpocząć? — spytał Mark.

— Wolałabym zostać tutaj i rzucić okiem na freski, jeżeli to możliwe — odparła Diana.

- Okay — zgodził się Mark, a odwracając się do Liz, powiedział: — Powiem Juanowi, żeby cię odwiózł do szkoły.

— **Och**, a ty nie pojedziesz? — Liz spojrzała na niego z wyrzutem.

— Liz, posłuchaj, ja naprawdę muszę pracować. I tak zostało nam już niewiele czasu — w jego słowach zabrzmiała nutka zniecierpliwienia.

Profesor Katani podniósł się i żartobliwie pogroził Liz palcem: — Moja droga, proszę tylko nie odciągać Marka od pracy. Jest tu bardzo potrzebny. Lepiej proszę mu pomóc.

Liz popatrzyła niepewnie na profesora. Nie wiedziała, czy naprawdę myśli to, co mówi. Tina Katani także wstała z miejsca, wzięła męża pod rękę i powiedziała z naciskiem: — Chodź, Henry, wracajmy do pracy.

Gdy opuszczali namiot, Henry Katani kręcił głową, mrużąc coś o usiłowaniu odwrócenia uwagi.

Mark i Liz także wyszli, a Diana i Peter usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku brydżowym. Diana wzięła

Lila Leonard

chleb i popijała go wodą z plastikowej filiżanki. Była zadowolona z tego, co było do jedzenia, gdyż obfite śniadanie w hotelu stanowiło solidną podstawę.

— Mark ma dużo cierpliwości dla Liz — zauważył Peter. — Ja jednak nie mogę sobie odmówić podokuczania jej trochę.

— Ona świetnie wygląda, prawda? — powiedziała Diana, unikając wzroku Petera.

— Trochę za dobrze, jak na mój gust — odparł natychmiast Peter.

— Ale widocznie nie na Marka. Nic dziwnego, że jest wobec niej taki cierpliwy.

W tym momencie do namiotu wszedł Mark. — Jak widzę, jesteście właśnie w trakcie poznawania się — zauważył i nie było całkiem jasne, co chciał przez to powiedzieć.

— Nikt nie jest w stanie oprzeć się mojemu urokowi — powiedział Peter robiąc do Diany minę niewiniątka.

Mark dosiadł się do nich i nalał sobie wody do filiżanki. — Czy zdarzyło się coś ciekawego pod moją nieobecność?

— Mówiąc szczerze, tak! — powiedział triumfująco Peter, z błyskiem w oczach ciągnął dalej: — Po twoim wyjeździe Indianie zaczęli grodzić teren naszych wykopalisk. Stary dobry Henry całymi godzinami przebywał i rozmawiał z nimi. Bóg jeden wie, o czym. Praktycznie każdy z nich mówi innym dialektem, ale wiesz przecież dobrze, że Henry zna wszystkie ich narzecza. No, i wtedy stało się. W którymś momencie Henry wyjmując nagle swój notes i zaczyna jak szalony coś zapisywać. W chwilę później biegnie do Tiny, jakby go ugryzła tarantula, i mocno gestykulując opowiada jej coś w co najmniej sześciu językach.

Mark wtrącił, zwracając się do Diany: — Tina jest

jedyną osobą, która ma jaki taki wpływ na profesora. Nie wiem, jak dalibyśmy sobie bez niej radę.

— Z całą pewnością tym razem Henry miał podstawy do podniecenia. Istnieje określona liczba słów, która dotyczy wszystkich dialektów. Henry jest święcie przekonany, że jeżeli słów tych będzie wystarczająco dużo i on **bedzie** w stanie prawidłowo je zanalizować, to uzasadni **to tezę**, iż dawno temu istniała rozwinięta komunikacja niestety poszczególnymi szczepami. — Peter rozemocjonowany wychylił się na krześle do przodu. — Jest jeszcze coś. Wczoraj wieczorem, gdy Henry siedział w swoim pokoju i pracował, Tina powiedziała mi, że znalazła już prawie wspólne cechy ceramiki. Wiesz dobrze, jak rzadko ma mówić o swojej pracy. Jak już coś powie, to zawsze ma to ręce i nogi.

To wszystko jest obiecujące — Mark poklepał Petera z radości po ramieniu. Następnie wziął Dianę za **rękę**, pociągnął ją z krzesła i powiedział: — Chodź, czas przydzielić ci pracę.

Zanim się Diana obejrzała, byli już przed namiotem.

leś — Pokaż, pannie Larkin, co też do tej pory zdziała-
— polecił Mark Juanowi, gdy zbliżyli się do jego stołu. Następnie bez słowa zostawił ich i wrócił do namiotu. Juan i Diana popatrzyli za nim. Juan — pełen podziwu, a Diana raczej ze złością.

Po chwili jednak Diana uśmiechnęła się do wyraźnie speszonego chłopca, dodając mu odwagi, i przeglądnęła jego rysunki. — Bardzo dokładna robota — pochwaliła go.

— Pan Harrison powiedział, że to bardzo ważne — jego angielski był płynny, choć z lekkim obcym akcentem. Było wyraźnie widać, że uwielbia Marka.

Juan i Diana spędzili popołudnie na studiowaniu poszczególnych kawałków fresków, które zgromadzone na ziemi pod stołem, dla ochrony przykryte były grubymi

Lila Leonard

plastykowymi plandekami. Juan podnosił kawałek po kawałku i kładł przed Dianą, by ta mogła je dokładnie obejrzieć.

Stwierdziła, że większość z nich musiała być odkryta w związku z budową metra w Mexico City. Znajdowały się tu jednak również fragmenty pochodzące z najprzeróżniejszych części Meksyku, a niektóre z nich wydobyto w okolicy Cholula.

Były wykonane z różnorodnych materiałów i miały różne kształty. Jedną cechą miały jednak wspólną: głęboko rowkowane wzory, świadczące o tym, że wszystkie stanowiły kiedyś dekorację starych meksykańskich świątyń.

Stopniowo Juan tracił nieśmiałość wobec Diany i dokładnie wyjaśnił jej zasadę porządkowania, którą sobie wymyślił, by przejrzycie zarejestrować freski i swoje rysunki.

Na całym placu panowała atmosfera błogiego spokoju. Niedaleko od Diany siedziała Tina pochylona nad kawałkami ceramiki i cicho nuciła. Słychać było delikatny śpiew ptaków, a chwilami dochodziły tu też odgłosy innych zwierząt.

Diana czuła się dobrze i już teraz była pewna, że ten rodzaj pracy przysporzy jej dużo radości.

7

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy nagle na stół, przy którym siedziała Diana, padł cień Marka.

— Żadnych nadgodzin w pierwszym dniu — powiedział uśmiechając się.

Diana popatrzyła zdziwiona na zegarek. Rzeczywiście było już po piątej.

— Proponuję, żebyś zwinęła już interes i pojechała z nami do szkoły.

Diana zauważyła, że Tina przykrywa swoją ceramikę folią.

— Juan — powiedział Mark — pomóż pannie Larkin posprzątać, a potem przyjdźcie do landrovera.

Juan natychmiast poderwał się, by wypełnić polecenia Marka, i za chwilę wszyscy zebrali się przy czerwonym jeepie. Diana obserwowała, jak dwóch Indian odjeżdżało na osłach, a trzeci rozlokował się wygodnie przed namiotem.

Widocznie wypadła mu nocna warta. Pozostali tubylcy opuszczali obóz pieszko. Mieszkali w pobliskiej, małej wiosce.

Juan usiadł za kierownicą i gdy wszyscy wsiedli, powoli ruszył.

Nie trwało długo, gdy w oddali ukazała się wioska,

Lila Leonard

składająca się głównie z glinianych lepianek. W środku wioski znajdował się plac, na którym stał prosty kościółek.

Juan zaparkował samochód naprzeciw kościoła, tuż przed jednopiętrowym budynkiem, krytym czerwoną dachówką. Była to najnowocześniejsza budowla w całej wsi. Bez wątplenia mieściła się tu szkoła, a także urząd gminy.

Wewnątrz znajdowała się duża sala, służąca jako klasa lub miejsce zebrań, a obok było dużo mniejszych pomieszczeń.

W wielkiej sali znajdowała się umywalka, piec i lodówka. Ławki szkolne i krzesła ustawione były jedne na drugich w kącie. Na ich miejscu, na środku pomieszczenia, stały dwie stare, zużyte sofy i fotel.

— Nie wygląda jak Camino Real — powiedział Peter, widząc sceptyczny wyraz twarzy Diany — ale wystarcza do życia i na pewno prędko zaczniesz traktować to miejsce jako swój dom.

— Peter! — z jednego z małych pokoi wyszła Liz. — Jak, na miłość boską, można wytrzymać tu dłużej niż jeden dzień? — Nie czekając na odpowiedź, podeszła do Marka. — Gdzie byłeś przez całe popołudnie? Siedzę tu od paru godzin i czekam na ciebie!

— Liz, wiesz dobrze, że pracowałem. Straciłem dwa pełne dni i muszę to możliwie jak najszybciej nadrobić — Mark zmarszczył czoło. Po chwili jednak rysy jego twarzy złagodniały. Ujął Liz pod ramię i przyjrzał się jej z uznaniem. — Jak widzę, dobrze wykorzystałaś czas — powiedział szarmancko i uśmiechnął się do niej promiennie.

— Podoba ci się? — zapytała Liz na wpół udobruchana i obróciła się w miejscu jak modelka.

Wyglądała rzeczywiście szalowo. Miała na sobie szeroki jedwabną bluzkę, której końce związała między kształtymi piersiami w węzeł, i długą do ziemi, także jedwabną, lejącą się spódnicę.

Diana powstrzymała się od wypowiedzi. Mimo, że wygląd Liz w tym ubogim budynku szkolnym sprawiał żałosne wrażenie, to mogła sobie wyobrazić, iż w eleganckiej dyskotecie dobrego hotelu w Acapulcou Liz prezentowałyby się bardzo dobrze.

- Mario! — Mark zawołał na Meksykankę, która przez cały czas w milczeniu, z poważną miną stała obok pieca. - Dziękuję ci, że zadbałaś o pannę van Dorn. Chodź, przedstawię ci Dianę Larkin, naszą nową współpracownicę.

Maria podeszła do nich, ukłoniła się Dianie i popatrzyła pytająco na Marka. — Kiedy państwo chcą zjeść kolację? — zapytała po hiszpańsku.

Najszybciej, jak to możliwe — odpowiedział z uśmiechem Mark. — Wszyscy jesteśmy bardzo-głodni.

Następnie całą swoją uwagę poświęcił Liz, która i usiadła obok niego na sofie i natychmiast zaczęła z nim rozmawiać o Acapulco.

Maria wróciła na swoje miejsce przy kuchni, na której stał wielki garnek, i rozpaliła ogień. Tina i Henry Katani zniknęli tymczasem w swoim, pokoju.

— Chodź, pokażę ci twój apartament— zwrócił się Peter do Diany. Jego opieka wpływała na Dianę dobroczynnie i pozwalała zatuszować przykre uczucie, jakiego doznawała patrząc na Liz i Marka. Skinęła więc z wdzięcznością głową i wyszła z Peterem z sali.

Inne pokoje były do siebie podobne. W każdym znajdowały się dwa wąskie łóżka, bardziej podobne do pryczy, oddzielone od siebie małym drewnianym stolikiem z lampką nocną. Oprócz tego była tam jeszcze komoda z wieloma szufladami, lustro w metalowych ramach na ścianie i deska z hakami, zastępująca szafę na ubrania.

— Jak widać, wyraźnie brakuje tu kobiecej ręki, która

by to wszystko dopieściła — powiedział śmiertelnie poważnie Peter.

Diana nie mogła się nie roześmiać.

— A, widzisz, tak podobasz mi się o wiek bardziej — powiedział Peter. — Przez chwilę już się bałem, że się zaraz rozpłaczesz. Już dobrze, dobrze, wcale nte miałbym ci tego za złe. Jak sobie przypomnę moją pierwszą ekspedycję, mój Boże... Wszystko było takie obce i nowe! Nigdy tego nie zapomnę!

Jego twarz wykrzywił śmieszny grymas.

— Jakkolwiek by rzecz się miała — kontynuował — w pokroju obok mieszkają Katani, a ja dzielę z Markiem następny pokój. Dzisiejszej nocy, chcesz czy nie chcesz, musisz się zgodzić na towarzystwo Liz w pokoju. Ale jak ona odjedzie, będziesz miała pokój tylko do swojej dyspozycji, no chyba że mnie zapjosisz do siebie.

— Peter! — Diana zaśmiała się głośno. — Czy ty choć raz nie możesz być poważni? Skończ wreszcie żartować sobie ze mnie.

— Teraz mówisz jak Liz — powiedział Peter, szczerząc zęby. — No, myślę, że już pora na kolację. Chodźmy, bo inaczej nic dla nas nie zostanie — Peter objął Dianę ramieniem i wyprowadził ją z pokoju.

Przyszli akurat w momencie, gdy Maria wlewała dymiącą, apetycznie pachnącą zupę do dużych drewnianych misek.

Wszyscy usiedli wokół okrągłego stołu. Każde z nich wzięło sobie zapiekaną fasolkę, tortillę i mięsne kluseczki w sosie chili.

Dotychczas Diana nie zdawała sobie sprawy z tego, jaka była głodna. Ale gdy zaczęli jeść, nie włączała się do rozmowy, jaką prowadzono przy stole, lecz zajęła się tylko jedzeniem.

Gdy wreszcie wszyscy najedli się do syta, zaczęli jedno

po drugim wstawać od stołu. Rozprostowywali kości i chwalili dobre jedzenie. Mark podszedł do zlewozmywacza gdzie Maria nalewała wody do dużej miednicy, i po lekkim rumieńcu na jej policzkach można było się domyś-
--- ze prawił jej komplementy, związane z jej sztuką kulinarną. Wtedy jednak Liz zawołała Marka przez całą sale i poprosiła, by usiadł koło niej.

Diana pomagała Tinie zbierać naczynia, zaoferowała także pomoc przy wycieraniu.

Naprawdę nie masz nic przeciw temu? — upewniała się Tina.

Nie, skądże — powiedziała Diana reakcją na co był wdzięczny uśmiech Tiny i Marii.

— Maria bardzo dużo dla nas robi. Jej dom-znajduje się w pobliżu i jeżeli trochę jej pomożemy, to prędzej będzie ze swoją rodziną — wyjaśniła Tina. — Na marginesie, Juan to jej syn.

Gdy skończyły, Maria jeszcze raz podziękowała im uśmiechem i szybko wyszła tylnymi drzwiami,

— Chyba ożenię się z Marią, żeby resztę życia spędzić jedząc — powiedział leniwie Peter, klepiąc się po brzuchu.

— Uważaj, żebyś nie miał do czynienia z Pablem — ostrzegł go Mark śmiejąc się.

— Pablo to mąż Marii — wyjaśniła Tina, widząc pytające spojrzenie Diany. — Jest brygadzystą grupy naszych robotników. Henry bardzo go ceni.

— No, śniadanie to już gorsza sprawa — powiedział Peter w stronę Diany. — Niestety, każdy przygotowuje je sobie sam. Możesz tu po prostu przyjść i wziąć, co jest. Możesz też wstawać, kiedy chcesz rano, ale jeżeli chcesz jechać do obozu landroverem, to musisz o siódmej trzydzieści być gotowa do wyjścia.

— Pół do ósmej? Tak wcześnie? — zapytała Liz, robiąc wielkie oczy.

Lila Leonard

Peter świadomie zignorował uwagę i podniósł się z miejsca. — Sprawdzę, czy z naszym jeepem jest wszystko w porządku po wielkiej podróży do miasta — wyjaśnił i wyszedł z budynku.

— Czy tu właściwie nic się nie dzieje? — westchnęła Liz, szukając wsparcia u Marka.

— Chodź, zrobimy sobie spacer wokół placu. W Meksyku tak się robi.

Liz zgodziła się. Wstali więc i wyszli na zewnątrz. Tina wzięła książkę i zaczęła czytać. — Tam są gazety, jeśli masz ochotę — powiedziała do Diany i pokazała stertę pism ilustrowanych, leżącą na krześle.

Diana wzięła pierwsze z wierzchu pismo i zaczęła je mechanicznie kartkować. Już po chwili powieki zaczęły się jej kleić.

— Wyjdę jeszcze trochę na świeże powietrze — powiedziała do Tiny i wstała. Przez tylne drzwi wyszła w chłodną, gwiazdzistą noc.

Przez chwilę Diana stała w drzwiach, rozglądając się dokoła. Nie miała najmniejszej ochoty spotkać się z Markiem i Liz.

Głęboko nabrała świeżego powietrza do płuc i poszła powoli wzdłuż szkolnego muru.

Jednak nagle stanęła jak wryta i aż zaparło jej dech w piersiach. Parę metrów od niej stali Mark i Liz. Sylwetki ich wyraźnie odznaczały się w srebrzystej poświacie księżyca.

Wyglądali jak idealna para na reklamowym zdjęciu. Mark, wysoki, szczupły w dżinsach, Liz, długonoga, powabna, z połyskującymi srebrem włosami, rozwiewanymi przez wiatr.

Mark obejmował Liz, a ona splotła ręce na jego karku.

— Proszę, Mark, powiedz tak — prosiła go przymil-

Lato z Marki

nie.Diana słyszała każde słowo. — Jedź ze mną do Acapulco, choć na kilka dni.

- Wiesz dobrze, że nie mam czasu — odparł Mark.
- Kochany, przyrzeknij mi przynajmniej, że mnie tak predko nie zapomnisz — szeptała Liz. Przyciągnęła głowę Marka do siebie i pocałowała go w usta.

Diana stała bez ruchu w cieniu budynku szkolnego. W jednej chwili czar prysł. Odwróciła się na obcasie pobiegła z powrotem najszybciej jak potrafiła. Była szczęśliwa, że nie spotkała po drodze nikogo.

W pokoju nie od razu zapaliła światło, lecz po ciemku rozebrała się i wsunęła pod kołdrę, podciągając ją pod samą brodę. Drżała z zimna, mimo że upał dnia wypełniał jeszcze pokój.

W głowie miała straszliwy zamęt. Jeszcze raz odtworzyła w myślach wydarzenia ostatnich dni. Zadawała sobie przy tym setki pytań. Czy byłaby w stanie ignorować urok, jnki wywierał na nią Mark? Jedno w każdym razie było pewne, a mianowicie to, że musi kontrolować swe uczucia wobec Marka, który najwyraźniej miał romans z Liz. Pozwalając rozwinać się uczuciu, wyrządziłaby sobie największą krzywdę.

Otwarte pozostało także męczące ją pytanie, czy **będzie** mogła wnieść istotny wkład w pracę badawczą. Pierwszy dzień sprawił jej prawdziwą przyjemność, ale Czy jej praca na dłuższą metę będzie taka znacząca? Jak będzie się jej układało z innymi? Mark powiedział wprawdzie, że ją tu przyjmą serdecznie, i tak rzeczywiście było. Czy jednak w zachowaniu Katanich nie czuło się odrobiny chłodu? A czy huriiior Petera nie był niekiedy zbyt złośliwy?

Diana zamknęła oczy i starała się zasnąć. Po chwili jednak pod powieki napłynęły jej słone łzy. Gwałtownie podniosła się na łóżku i zapaliła lampkę nocną. Dość tego,

Lila Leonard

zrugła samą siebie i wierzchem dłoni otarła oczy, Tylko tego brakuje, że przy tym całym zamieszaniu staniesz się jeszcze sentymentalna!

Wstała, pogrzebała w torbie, aż znalazła książkę, której szukała, podłożyła sobie poduszkę pod kark i zaczęła czytać.

Gdy pół godziny później do pokoju Weszła Liz, zastała ją całkowicie pochłoniętą *Tajemnicą meksykańskich piramid*.

— Co czytasz? — zapytała z ciekawością, próbując odcyfrować tytuł książki.

— Uważam, że to taka ciekawa książka, że mogłabym ją czytać bez końca — stwierdziła Diana.

— Jesteś prawie taka sama jak Mark — powiedziała na to Liz, wzruszając ramionami i zaczęła zdejmować z siebie biżuterię. — Wiecznie ślęczący nad Tcsiążkami, albo nad jakimiś starociami. Uważam, że dla niego ktoś taki jak ja, kto skieruje jego myśli na inne tory, jest bardzo ważny.

Liz rozbierała się i bez przerwy paplała. Diana musiała przyznać, że Liz była może nieco przy kości, ale proporcjonalnie zbudowana. Nic dziwnego, że była w stanie odciągnąć Marka od poważnych spraw.

— Ale tym razem totalnie zaprzedał się pracy. Nie dostrzega niczego poza nią — przerwała myśli Diany. — Nie mogę go nawet nakłonić, żeby choćby na dwa dni pojechał ze mną do Acapulco. Jedno muszę ci jednak wyznać — głos jej stał się bardziej poufały — jestem spokojniejsza, od kiedy cię poznałam.

Liz przewiesiła długą spódnicę starannie przez oparcie krzesła i wyjęła z kufierka na kosmetyki słoiczek kremu.

Nakładając równomierną warstwę na twarz ciągnęła dalej: — Ostatnio Mark otaczał się atrakcyjnymi młodymi

kobietami, i muszę przyznać, że nie byłam tym zbytnio zachwycona.

Liz usiadła na swoim łóżku i patrzyła na Dianę wielkimi, niewinnymi oczyma. — Ty ilie należysz, mam nadzieję, do tych, którym zależy na poderwaniu Marka?

Zamiast odpowiedzi Diana odwróciła kartkę w książce.

A nawet gdyby tak było, to nie miałyby to większego sensu. — Liz wstała i wytarła z twarzy nadmiar kremu w papierową serwetkę. — Mark i ja jesteśmy, że tak powiem, blisko zaprzyjaźnieni ze sobą — powiedzia-
--, patrząc na swe odbicie w lustrze, tyłem do Diany. — Jak tylko skończy się ta praca tutaj, urządzimy **zareczyny**.

Diana, milcząc odłożyła książkę. Następnie sięgnęła po podróżny budzik, stojący na nocnej szafce. — Nastawię budzik na pół do siódmej — oznajmiła, nie podejmując tematu. — Chcesz leż wtedy wstać?

-- Broń Boże, nie! Zwariowałaś? — wykrzyknęła przerażona Liz i położyła się na swoim łóżku. — Na tej przycy chyba nawet nie zasnę — powiedziała ze skargą w głosie.

Gdy Diana zgasiła światło, Liz zapytała z ciekawości:

— Powiedz, nocowaliście w tym okropnym hotelu przy Plaża de Mexico, który Mark uważa za taki wspaniały? — Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: — Ja zawsze staram się mieszkać w Camino Real. Mają tam najlepszą dyskotekę, jaką można sobie wyobrazić. Tam zresztą nauczyłam Marka tańczyć.

Było widać, że Liz nie oczekuje komentarza, Diana milczała więc w dalszym ciągu, mając nadzieję, iż Liz w końcu zmęczy się tym swoim monologiem.

Minęła chwila i po regularnym oddechu Liz Diana poznała, że dziewczyna, mimo niewygodnego łóżka, znalazła się w objęciach Morfeusza.

Lila Leonard

Natomiast Diana leżała ciągle wpatrzona w ciemność i wyobrażała sobie, jak Liz prowokuje Marka do tańca, jak powabnymi ruchami poddaje się w ramionach Marka południowoamerykańskiemu rytmowi, jak kołysze biodrami, co przy jej figurze wygląda fantastycznie.

Po policzkach Diany jeszcze raz tego wieczora spłynęły łzy, zanim wyczerpana pogrążyła się wreszcie w głębokim śnie.

Nie! Nie! Nie! — krzyczała Liz, zasłaniając twarz poduszką, gdy następnego dnia ostry dźwięk budzika obwieścił, że jest już pół do siódmej.

Diana prędko przerwała dzwonienie i wyskoczyła z łóżku. Po pobieżnym wymyciu się zimną wodą w małej umywalce, znajdującej się w kącie pokoju, włożyła sprane dzinsy i niebieski T-shirt. Następnie zawinęła głowę czerwoną chustką, chroniącą włosy przed słońcem i kurzem.

Gdy weszła do wspólnej sali, Mark i Peter jedli już śniadanie.

— Wyglądasz, jakbyś miała zamiar zaraz zabierać się tło roboty — powiedział na powitanie Peter.

— Czy Liz też już wstała? — zapytał Mark.

— Myślę, że z powrotem zasnęła.

Mark kiwnął głową i nic nie powiedział.

Diana wypłukała filiżankę i zrobiła sobie rozpuszczalną kawę. Na stole stało kilka opakowań płatków kukurydzianych. Diana nasypała trochę płatków do talerza i zalała je mlekiem.

Tymczasem dosiadło się do nich małżeństwo Katanich. Oboje wzięli po kawałku tortilli, która została z ubiegłego wieczora.

Lila Leonard

Śniadanie przebiegało w milczeniu. Wszyscy patrzyli na swoje talerze i myślami byli już może przy pracy, a może jeszcze nie byli całkiem przebudzeni. Po śniadaniu poszli do landrovera, gdzie czekał już na nich Juan.

Słońce, które pojawiło się na horyzoncie, nie rozproszyło jeszcze porannej mgły.

Na placu panowała osobliwie senna atmosfera. Indianie spokojnie i milcząco oddawali się swoim zajęciom. Osły pasły się spokojnie, a w oddali widać było góry, których pokryte śniegiem wierzchołki lśniły w słońcu oślepiającą bielą.

Diana obejrzała się dokoła i przetarła oczy. Czy to może być prawda? Czy ja tu jestem naprawdę? Tu, w Meksyku?

— Jeżeli będziesz tu stać przez cały dzień i dumać, to nigdy niczego nie zrobisz — ostry głos Marka wyrwał ją z zamyślenia.

Miała już ciętą odpowiedź na końcu języka, ale Mark zniknął w namiocie, by coś omówić z Peterem.

Diana spędziła przedpołudnie na przeglądaniu wspólnie z Juanem rysunków, wykonanych przez niego i na dawaniu mu od czasu do czasu wskazówek, jak mógłby poprawić swoją technikę rysunku.

Około godziny dwunastej podszedł do ich stołu Mark. — Niestety, muszę wam przeszkodzić. Juan, czy mógłbyś odwieźć pannę van Dorn na lotnisko? Powiedz jej, proszę, że jestem właśnie zajęty niezwykle ważną sprawą i nie mogę stąd odejść. Zobaczę się z nią, jak wróci ze swojej podróży. Przekażesz jej to?

Juan wpatrywał się w Marka z wyrazem największego zdziwienia. — Naprawdę mam jechać do miasta? — upewnił się, a twarz jego rozjaśniała.

- No, jasne — zaśmiał się Mark i poklepał go po plecach. — Na pewno sobie poradzisz.

Juan natychmiast odłożył ołówek i pobiegł w stronę landrovera. Biegając odwrócił się jeszcze i zawołał:

— Przepraszam, panno Larkin..

Diana uśmiechnęła się i pomachała, dodając mu odwagi.

— Zdaje się, że cię uwielbia - powiedziała do — Marka.

Możliwe. Uważam, że jest w porządku. Robi dobra robotę.

A jeszcze w dodatku ma talent — stwierdziła Diana i podniosła do góry kilka rysunków Juana.

Mark stał tuż za nią i patrzył jej przez ramię. Diana natychmiast poczuła klucie w żołądku. Stała jak słup soli i bała się poruszyć. Jego nagła bliskość i odczucia, jakie przez to w niej wzbudzał, wprawiły ją w prawdziwy szok.

No, dość gawędzenia. Wracamy do pracy — zrobił krok, odwrócił się na pięcie i szybko się oddalił.

Juan mógłby udzielić ci lekcji dobrego zachowania, pomyślała ze złością Diana, patrząc, jak odchodzi. Następnie usiadła przy stole i kontynuowała swoją pracę.

Promienie słońca prażyły tak mocno, że Diana, chcąc pracować dalej, musiała zawinąć głowę chustką.

— Jeszcze dostaniesz udaru słonecznego — usłyszała za sobą niski głos.

Diana czuła, że ktoś wkłada jej na głowę kapelusz i po chwili nic nie widziała. Sombrero, które wkładał jej Peter, było o wiele za duże i zatrzymało się dopiero na uszach Diany.

— Całkiem ciemno tu w środku — powiedziała śmiejąc się.

— A poza tym tak nie można pracować — przekomarzył się Peter.

Lila Leonard

— Mówisz jak Mark — powiedziała Diana chichocząc zdjęta sombrero.

— Tak, on jest wręcz fanatykiem, prawda? — Peter wykrzywił twarz. — Ale właśnie ten jego entuzjazm jest zaraźliwy i nie pozwala odbiegać od przedmiotu.

Robiło się coraz bardziej upalnie i życie wstępowało w grupę pracującą na placu.

Henry Katani dużo przebywał z Indianami i prawie bez przerwy coś mówił. Mark zajęty był głównie wydawaniem instrukcji, a Peter był wszędzie i nigdzie.

Jedyną osobą, która pracowała niezmiernie spokojnie, była Tina Katani. Sprawiała wrażenie, jakby nie dochodziło do niej nic z hektyki panującej wokół niej, a jeśli nawet, to w żadnym razie nie było jej to w stanie zirytować.

Diana po pewnym czasie stwierdziła, że też jej się to udaje. Okrzyki mężczyzn i odgłosy łopat potraktowała jako swoisty podkład do swojej pracy, jako szmery, które się z nią w naturalny sposób, wiążą.

Do stołu Diany podeszła Tina, wytarła ręce o dzinsy i spytała, czy chciałaby zrobić sobie przerwę na lunch. Diana riie zauważyła nawet, kiedy zrobiło się tak późno.

Skinęła. — Dokończę jeszcze tylko rysować ten wzór — odpowiedziała i pokazała na fresk, który właśnie kopiowała.

— Okay — Tina popatrzyła na plac w stronę swojego męża. Gdy profesor wyczuł na sobie wzrok żony, odwrócił się momentalnie.

irina pokazała na zegarek, dając mu do zrozumienia, że pora na przerwę obiadową.

Z westchnieniem zwróciła się z powrotem do Diany: — On nie ma zegarka. Zresztą noszenie go jest bezcelowe, ponieważ i tak zawsze go gubi.

Tina poszła w kierunku męża i razem weszli do namiotu.

Po chwili do Diany podszedł Peter. — Pięknie rysu-

1

Lato z Markiem

jesz-powiedział patrząc na jej dzieło. — Masz talent, ale natwet artyści od czasu do czasu muszą coś przekąsić, tak przynajmniej myślę. No, jak? Idziesz?

~ Tak, jestem nawet bardzo głodna — odparła, chowając ołówki do etui. — A co jest do jedzenia?

Och, jak mogłem zapomnieć! — Peter uderzył się płaską dłonią w czoło. — Wiesz, nie mamy tu lodówki i dlatego każdy zabiera sobie ze szkoły to, na co ma ochotę. Teraz nie masz nic do jedzenia.

- Nie szkodzi — powiedziała. — W takim razie po prostu usiądę przy was i trochę odpocznę.

- Bez sensu — powiedział zdecydowanie. — Do-
staniesz połowę mojej kanapki.

- I połowę mojej — wtrącił się Mark, który właśnie podszedł do nich od tyłu. — Zapomniałaś zabrać lunch, Diano? — zapytał lekko marszcząc czoło.

- Nie — odparł za nią Peter. — Popełniłem niewybaczalny błąd. Całkiem zapomniałem powiedzieć jej, że powinna coś sobie przynieść.

- To do ciebie niepodobne — powiedział zdziwiony Mark i przyjrzał się obojgu dość sceptycznie.

Peter speszył się lekko, następnie przycisnął skrzyżowane ręce do piersi i powiedział, nadając swojemu głosowi namiętny ton: — Uroda Liz tak mnie odurzyła, że nie jestem zdolny do trzeźwego myślenia!

Mark zaśmiał się i po przyjacielsku klepnął go po plecach. Następnie poszli razem do namiotu.

Gdy się rozsiadli, oddali Diano po części ze swojego lunchu, tak że w końcu miała więcej, niż była w stanie zjeść.

Po jedzeniu ogarnęła wszystkich senność. Tina Katani oparła się wygodnie na swoim krześle, przymknęła oczy ucięła sobie małą drzemkę. Mężczyźni natomiast pochylili się w tym czasie nad mapą.

Lila Leonard

Diana poszła w ślady Tiny, także zamknęła oczy i spóbowwała się odprężyć. Nie udało się jej to jednak, gdyż w chwilę później usłyszała głos Marka: — Przymierz to, zanim zaśniesz.

Zmęczona spojrzała w górę. Nad nią stał Mark, trzymając w ręku sombrero.

— Dziękuję — włożyła kapelusz, który ięzał jak ulał.

— Słońce jest zbyt niebezpieczne — wyjaśnił, wychodząc z nią z namiotu. — Mogłabyś dostać udaru...

Przez chwilę stał przy jej stole i zdawało się, że ma jej coś pilnego do zakomunikowania, potem jednak widocznie się rozmyślił. Ściągnął brwi, jakby się na czymś koncentrował. Następnie gwałtownie odwrócił się i odszedł bez słowa...

Juan wrócił późnym popołudniem. Postawił landrover na skraju placu.

Diana widziała, jak poinformował o czymś Marka, na co ten jednak zareagował tylko wzruszeniem ramion i wrócił do swojej pracy.

Juan ze spuszczonym wzrokiem szedł w kierunku Diany. Gdy był już blisko niej, dziewczyna zajiważyła na jego twarzy wzburzenie. Nigdy wcześniej tego u niego nie widziała.

— Co się stało? — zapytała. — Masz minę, jalcby świat się miał zaraz zawalić.

Juan przez moment milczał, a potem wydusił z siebie: — Panna Dorn kazała mi przekazać panu Harrisonowi parę nieprzyzwoitych rzeczy. A ja nie chcę, żeby... — nadaremnie szukał właściwych słów.

— Nie chciałeś sprawiać mu przykrości, czy tak? — powoli pomogła, mu Diana.

— Tak — potwierdził zdenerwowany Juan, wodząc wzrokiem za Markiem, który właśnie przechodził przez plac.

Lato z Markiem

- Jestem pewna, że pan Harrison doskonale wie o tym — powiedziała Diana. — Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Zabierz się do pracy. To odwraca uwagę. Zapomnij o tym...

Podawała Juanowi ołówek i podsunęła mu pewien zestaw fragmentów fresku. Nie potrwało długo, a całkowicie zajęł się pracą i znowu wyglądał na zadowolonego.

Diana zmieniła pozycję i wyprostowała plecy. Każdy z mięśni sprawiał jej ból. Nie była przyzwyczajona do spędzania tyle czasu na siedząco.

Gdy zerknęła na Tinę, stwierdziła ze zdumieniem, że kobieta zaczęła już zakrywać swoje mozaiki. A więc nawet długi dzień pracy ma jednak swój kres. Diana odetchnęła z ulgą. Uważała swoją pracę za ciekawą i chętnie ją wykonywała, mimo to teraz cieszyła się, że za chwilę inajdzie się w szkole, i że będzie mogła odpocząć. Poza tym była głodna jak wilk.

Posprzątała swój warsztat pracy i za chwilę cały zespół spotkał się przy jeepie. Gdy wrócili do szkoły, zachęcająco pachniało już jedzenie, które przygotowała im Maria. Po kilku minutach wszyscy zebrali się wokół stołu czekali na prosty, ale dzięki niezrównanemu talentowi kulinarnemu Marii pyszny posiłek. Jedzenie było ostro przyprawione, pito więc dużo i prowadzono ożywioną rozmowę.

Po kolacji Tina i Diana pomagały Marii, podobnie jak

poprzedniego dnia, przy zmywaniu. Następnie dołączyły się do Marka i Petera, którzy ciągle jeszcze siedzieli przy stole i o czymś dyskutowali.

Po chwili jednak Mark podniósł się, mówiąc: — Muszę coś przynieść. Tino, zawołaj Henry'ego.

Peter aż podskoczył. — Ja też — powiedział i zniknął w drzwiach za Markiem.

Lila Leonard

Diana została sama i trochę czuła się nieswojo, siedząc przy pustym stole. Nie czekała nawet minuty, gdy pojawił się z powrotem Mark z dwoma pełnymi butelkami w ręce.

— Tequila — wyjaśnił i uśmiechnął się zadowolony. Podszedł do szafy, wyjął kieliszki i rozlał do nich koktajl złożony z tequili, likieru i soku cytrynowego.

Wrócił Peter z gitarą zawieszoną na szyi i wziął kilka akordów.

Mark ustawił kieliszki na tacy i przyniósł je do stołu. Uroczyście postawił kieliszek przed każdym, następnie uniósł swój i zaproponował toast za zdrowie Diany.

— Henry, Tina, Peter i ja pracujemy już całe wieki razem. Od czasu do czasu dołącza do nas jeszcze ktoś, by nam pomóc — zrobił pauzę, patrząc Dianie prosto w oczy. — Ty, Diano, jesteś kimś szczególnym i wszyscy chcielibyśmy uczcić twoją obecność w naszym gronie tym meksykańskim specjałem...

Gdy Mark przystawiał kieliszek do ust, poderwała się zwykle spokojna Tina i powiedziała: — Ja chciałabym szczególnie serdecznie powitać Dianę. Nie wiem, co Juan miał dzisiaj na wątrobie, gdy wrócił z miasta, wiem tylko, że był bardzo zasmucony. Dianie udało się w ciągu zaledwie paru minut całkiem odmienić jego nastrój i potem pracował, jakby się nic nie stało.

Tina podniosła kieliszek, a Henry sekundował jej mocno przytakując głową.

— No więc, Diano, skoro należysz już do naszego grona — wtrącił Peter, uderzając w struny — to chcielibyśmy cię prosić... żebyś nie zapomniała jutro o lunchu.

Wszyscy wybuchnęli radosnym śmiechem, popijając koktajl. Diana czuła się tak dobrze jak nigdy dotąd. Trudno jej było uwierzyć, że jeszcze wczoraj zasypiała ze łzami w oczach.

Peter wypił zawartość kieliszka jednym haustem, a następnie wskoczył ze swoją gitarą na krzesło. — Moje wielce szanowne panie, szanowni panowie, Peter Simmons rozweseli was teraz popisem solowym. Zapraszam wszystkich do wspólnego śpiewania na cały głos — zawołał i zaraz zabrzmiały pierwsze takty *Home on the Range*.

Po kilku falstartach udało im się w końcu zaśpiewać razem piosenkę do końca. Peter tak się rozochocił, że nie można go było wyciszyć. Grał wszystkie amerykańskie melodie ludowe, które mu przysły do głowy, potem przerzucił się na znane przeboje z Broadwayu i wreszcie zakończył kilkoma porywającymi utworami meksykańskimi.

Śpiewali i śmiali się, aż nadszedł czas udania się na spoczynek. Diana pozbierała puste kieliszki i powiedziała: — Ponieważ teraz oficjalnie należę już do waszego towarzystwa, to nie pozwolę odebrać sobie dobrowolnego dyżuru w kuchni.

Profesor Katani sięgnął przez stół i życzliwie pogłaskał ją po policzku. — Jesteś naprawdę bardzo dobrą siłą w naszym zespole — powiedział, uśmiechając się do niej przyjaźnie.

— To największa pochwała, jaką można od Henry'ego usłyszeć — skomentował Peter.

Państwo Katani wstali, by się pożegnać. Peter również powiedział dobranoc i odchodząc zagrał jeszcze ostatnią piosenkę.

— Oni cię lubią — powiedział Mark, gdy wreszcie zostali sami.

— Och, ja też ich lubię — odpowiedziała Diana z lśniącościami oczami. — Dziś wieczór czułam się z wami bardzo dobrze.

Nagle Mark wziął od niej puste kieliszki i powiedział zmienionym głosem: — Muszę ci coś powiedzieć, Diano...

Lila Leonard

Chwycił jej rękę i popatrzył na nią tym pełnym wyrazu, przenikliwym wzrokiem, który ją zniewalał.

— Jeżeli może zachowałem się śmiesznie, to między innymi dlatego, że byłem trochę zdenerwowany, gdy odebrałem cię z lotniska. Ale to nie ma żadnego związku z tobą.

Pochylił głowę i patrzył na swoje buty. Głos jego brzmiał cicho i nieco ochryple. Mark, który był przyzwyczajony do wydawania poleceń, miał nagle kłopot ze znalezieniem właściwych słów.

Diana w napięciu pochyliła się do przodu. Co Mark chciał jej powiedzieć?

— Obawiam się, że nic ci teraz nie mogę wyjaśnić, ale chcę, żebyś przynajmniej wiedziała, że cieszę się, że tu jesteś — powiedział.

Unióśł rękę Diany do swoich ust i powoli zaczął całować czubki jej palców. Dotyk jego ust był ledwie wyczuwalny, a jednak zdołał wzniecić w całym jej ciele żar, jakieś palące pragnienie, które zapierało jej dech.

Mark całował wewnątrz jej dłoni. Dianą wstrząsnął dreszcz i ugięły się pod nią kolana. Nagle poczuła niepoohamowaną chęć objęcia Marka za szyję i przytulenia się do niego. Chciała rozkoszować się jego pieszczotami i poddać się nieopisanie podniecającemu uczuciu, jakie wywoływał w niej dotyk jego czułych dłoni.

Ale wtedy odezwała się w niej iskierka rozsądku, Diana - zadała sobie pytanie, dokąd to wszystko prowadzi.

Czy chce być tylko jeszcze jedną zdobyczą na jego liście? Czy, gdy Liz wróci z Aćapulco, Mark znowu wyjedzie po nią na lotnisko, by ją odpowiednio przyjąć?

A co pomyśla sobie o niej inni, gdy dowiedzą się, że tym razem ona wpadła w sidła Marka?

Mark zrobił ruch do przodu, chcąc przyciągnąć ją ramionami do siebie. Jednak Diana błyskawicznie od-

skoczyła i niewiele brakowało, a wszystkie kieliszki wypadłyby jej na podłogę.

— Myślę, że będzie dla nas lepiej, jeżeli dostosujemy się do tego, co sam zaproponowałeś jeszcze na lotnisku. Jestem całkiem zwyczajnym członkiem twojego zespołu i tak też powinieneś mnie traktować. Nic ponadto nie wchodzi w rachubę.

Mark zmieszał się i przez chwilę patrzył na nią tak zdziwiony, jakby niezbyt dobrze rozumiał, o co chodzi. Potem twarz jego spochmurniała. Zrobił krok w kierunku Diany i zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie. Uchwyt jego dłoni był tak silny, że nie była w stanie się bronić.

— Mark, co to...

Przywarł ustami do jej warg i stłumił jej okrzyk namiętym pocałunkiem. Zmożona jego niespodziewanie gwałtowną reakcją i przypływem uczuć, jakie w niej rozpętał, Diana bezradnie poddała się jego uściskowi i z taką samą gorliwością odwzajemniła jego pocałunek.

Po chwili Mark rozluźnił objęcia i lekko odepchnął ją od siebie. Wskazującym palcem podniósł jej brodę, zmuszając ją, by popatrzyła mu w oczy.

— Od tej chwili będzie więc tak, jak sobie tego życzysz. Nasze stosunki są czysto zawodowe — powiedział chłodno. — Nie mów tylko, proszę, że ten gorący pocałunek, to efekt wypicia zbyt dużej ilości tequilii.

Diana drżała na całym ciele. Bezradna, nie mogąc powiedzieć ani słowa patrzyła, jak Mark przeszedł przez salę i głośno zamknął za sobą drzwi.

Trzęsącymi się palcami wymyła kieliszki, zgasiła światło i przygnębiona wkradła się do swojego pokoju.

Gdy leżała w łóżku, wpatrując się w ciemność, rozsądek podpowiadał jej, że postąpiła słusznie. Z drugiej

Lila Leonard

jednak strony czuła się samotna i przegrana, pilnie łaknąca bliskości Marka.

Nagle po jej policzkach popłynęły łzy. Ze złości zacisnęła pięści. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby zaczęła go opłakiwać...

Niezadowolona rzuciła się na łóżko i mocno zacisnęła powieki. W chwilę później spała głębokim snem.

Następny dzień wstał z takim samym pogodnym blaskiem jak poprzedni. Było to typowe dla pory suchej. Wielkimi krokami zbliżała się jednak pora deszczowa i kres cudownej, słonecznej pogody.

Mark wyjaśnił Dianie, że z dwóch powodów musi pchnąć pracę bardziej naprzód: po pierwsze dlatego, że powoli wyczerpywały się ich środki finansowe, a po drugie nadchodziła pora deszczowa, a wtedy praca na zewnątrz stanie się niemożliwa.

Diana zjadła skromne śniadanie, włożyła trochę chleba i owoców do torebki i spotkała się z innymi przy samochodzie.

— Dzień dobry — powiedział Mark — nie patrząc nawet na nią.

Następnie wszyscy rozeszli się jak zwykle do swojej pracy.

Indianie oznaczyli nowy teren pod wykopaliska, większy niż poprzedni. Henry Katani, zgodnie ze swoim zwyczajem, biegał między ludźmi i ciągle nanosił w swojej książce dziwne symbole i notatki.

W południe, jak na jakiś niewidzialny sygnał, wszyscy zebrali się w namiocie, by coś zjeść i odpocząć.

Po południu słońce grzało tak mocno, że jedni jeszcze głębiej na czoło wcisnęli sombrera, a inni opuścili miejsce pracy, pozwalając sobie na łyk orzeźwiającego zimnego napoju.

Lato z Markiem

W którymś momencie ciszę przerwał głośny, jęczący odgłos silnika. Diana tak się przestraszyła, że upuściła z ręki ołówek, a Tina przycisnęła wazę, przy której pracowała, tak mocno do siebie, żeomalże ją zgmiotła.

Peter siedział zadowolony na pogłębiarce i zgar-niał pierwszą warstwę ziemi. A więc wykopaliska roz-poczęły się!

Mijał dzień za dniem, wypełniony ciężką pracą, dyskusjami i koleżeńskością, wywołaną trudnymi warunkami życiowymi i ciasnotą pomieszczeń.

Tylko Mark był wyjątkiem. Nie chodziło o to, że był niezadowolony z pracy, ale sięgał wyżej.

Pomimo że jego obliczenia okazały się prawidłowe i znaleziono ważne przedmioty, świadczące o słuszności wielu jego przypuszczeń, to w gruncie rzeczy odczuwał rozczarowanie wynikami.

Tina odkrywała coraz to nowe podobieństwa obiektów, pochodzących z różnych regionów kraju. Henry i Diana znajdowali duże podobieństwo symboli graficznych.

Ale żadne z ich odkryć nie było niestety na tyle wymowne, by można je było potraktować za przełomowe. Materiał, jaki zebrali, po prostu nie był wystarczający, by przedsięwzięcie uznać za zamknięte.

Gdy wieczorami siedzieli razem i w dobrym nastroju grali w karty, a Peter śpiewał z gitarą, zdarzało się często, że Mark wstawał i wychodził do swojego pokoju, by jeszcze popracować. Czasami po prostu siedzieli i czytali. Diana parę razy zauważyła, jak Mark przygląda się jej dziwnym, nieodgadnionym wzrokiem.

Ich stosunek do siebie był taki, jak to wcześniej uzgodnili, byli wyłącznie na stopie zawodowej. Sama Diana dziwiła się nawet, że to funkcjonuje tak gładko.

Nie miała większych trudności w dyskusowaniu z Markiem na jakież konkretne tematy. Jednak nie mogła pozbyć się kołatania serca, gdy patrzył na nią tak osobliwie, lub gdy nagle stanął bliżej niej niż zwykle.

Pewnego wieczoru, gdy Diana z Peterem siedzieli na Mopniach przed wejściem do szkoły, Peter powiedział: — Nic pamiętam Marka tak spiętego, jak w ostatnim czasie. Ten program badawczy sprawia mu prawdopodobnie wiele kłopotów. Odwaliliśmy wprawdzie kawał roboty, ale to go wyraźnie nie zadowala. Ma trudności z wyłączeniem się i zajęciem się czymś innym. No, cóż — Peter uśmiechnął się szeroko — poprzednio, gdy pracowaliśmy razem, zawsze były obecne atrakcyjne dziewczyny, które bardzo gorliwie troszczyły się o niego, mimo że czasami też mu się nieźle dawały we znaki...

— Dawały we znaki? — zapytała zaciekawiona.

— No, tak — Peter zaśmiał się. — Za każdym razem, gdy jakaś córeczka jakiegoś profesora uniwersytetu, która skończyła jakiś kurs antropologii, ujrzy na własne oczy Marka, to błaga tatusia, żeby załatwił jej pracę w następnej jego ekspedycji. Do tej pory Mark był zawsze zbyt dobrym dyplomata, żeby w takiej sprawie kategorycznie odmówić. Cóż, najczęściej załatwiał więc pracę i sobie, i jej. — Peter zrobił krótką przerwę, a następnie ciągnął dalej: — Dlatego wszyscy się tak cieszymy, że ty tu jesteś. Henry zaliczył i ciebie do tej kategorii dziewcząt, o których mówiłem, ale będzie musiał gruntownie zrewidować swój pogląd. Jesteśmy zachwyceni twoją dobrą i konsekwentną pracą.

— Ja, jedną z dziewcząt Marka? — zapytała szczerze zdumiona Diana. — Jak coś takiego mogło wam

Lila Leonard

w ogóle przyjść do głowy? Ja zupełnie nie jestem w jego typie!

— Daj spokój, nie przesadzaj tak strasznie! — powiedział dobrodusznie Peter. — Nawet ja byłem przekonany, że łączy was coś więcej, gdy kazał mi cię zatrudnić.

— Powiedz, o czym ty mówisz? — zapytała zbita z tropu.

— Gdy napłynęły oferty do tego programu, Mark był na Juka tanie. Zatelefonowałem do niego i przeczytałem mu na głos nazwiska ubiegających się. Gdy usłyszał twoje nazwisko, bez wahania polecił mi zadbać o to, żebyś to ty została przyjęta. A wtedy, gdy przyjechała Liz, żeby cię ocenić...

— Żeby mnie ocenić? — zawołała Diana. Popatrzyła na Petera, jakby był niespełna rozumu.

— No jasne — powiedział śmiejąc się. — Liz od kilku lat goni za Markiem jak diabeł za biedną duszyczką. Za każdym razem, gdy się dowiaduje o jakiejś miłej dziewczynie uczestniczącej w ekspedycji, pojawia się i, że tak powiem, przypomina się Markowi. Mark, jak dotąd, bawi się w to ze względu na jej ciotkę i na pieniądze, wiesz jak to jest. Czasem żartuję sobie z niego i radzę mu, żeby się Wreszcie ożenił z Liz. Ale wtedy tylko się śmieje i mówi na przykład, że nauczyła go właśnie tańczyć. No, ale dość tego plotkowania. Ciężko pracujący ludzie, tak jak my, muszą pomyśleć w końcu o zasłużonym odpoczynku.

Tej nocy Diana długo przewracała się z boku na bok, nie mogąc znaleźć spokoju. Czy to możliwe, żeby Peter miał rację?

Czyżby artykuł o Marku w gazecie, który czytała był niczym więcej, jak tylko szukaniem taniej sensacji? Czy Peter postrzegał stosunek Marka do Liz we właściwym świetle, czy też Mark nie chciał się do tego przyznać, że mu na niej zależy?

Jedno pytanie nurtowało Dianę najbardziej: dlaczego Mark koniecznie chciał ją zatrudnić?

Na pewno chwilowo tylko się nią zainteresował, a może było to coś więcej?

Tak wiele pytań i żadnej odpowiedzi. Było już nad ranem, gdy Diana wreszcie zasnęła.

Następnego dnia rano niebo było zachmurzone, a powietrze wilgotne i duszne.

Już od rana nie szło im tak, jak by tego chcieli. Najpierw, w drodze do obozu, zepsuł im się samochód i resztę drogi musieli przebyć w nieznośnym upale na nogach.

Potem okazało się, że Indianie nie mają najmniejszej ochoty do pracy, ponieważ w pobliskiej wiosce odbywał się festyn, który wydawał się być dla nich o wiele ważniejszy.

Tinie wyślizgnął się ze spoconych rąk szczególnie ważny fragment wykopaliska i roztrzaskał się na tysiąc kawałków. Gdy jeszcze Henry stwierdził, że skaleczyła się przy tym, wrzasnął na Marka, że jest poganiaczem niewolników, i że nie będzie pracował ani minuty dłużej.

Diana przestraszyła się, widząc nadciągającą burzę, ale Mark zacisnął tylko usta i przez moment przyglądał się profesorowi w milczeniu.

Następnie powiedział spokojnie: — Okay, na dzisiaj koniec. Henry, powiedz Indianom, że mogą iść na ten swój festyn. Jeśli wy macie ochotę, to też możemy tam pojechać.

Gdy Indianie usłyszeli pomyślną dla siebie wiadomość, rozpierzchli się w ciągu sekundy.

Juan tymczasem naprawił jeepa i wkrótce siedzieli w aucie. Wrócił im dobry humor. W drodze do wioski, gdzie odbywał się festyn, śmiali się i śpiewali. Święto było zorganizowane ku czci patrona strzelców. Wszyscy

Lila Leonard

byli w dobrym nastroju, wszędzie panował zgiełk i słychać było muzykę.

Na wiejskim placu postawiono kramy, w których można było kupić dosłownie wszystko. Tłoczyli się przed nimi zarówno turyści, jak i tubylcy.

Henry Katani zachwycony wtopił się w tłum, by po chwili skutecznego targowania się wrócić z tyloma torbami pełnymi owoców i warzyw, że ledwie je mógł sam unieść.

— To dla Marii — oznajmił zadowolony. — Będzie mogła jutro przyrzadzić nam z tego coś odświeżonego.

Ze środka placu dochodziły teraz odgłosy klekotania kastanietów i pobrzękiwania tamburynów. Zaciekawieni poszli w kierunku, skąd słychać było muzykę, i zaczęli przyglądać się pełnemu temperamentu Meksykaninowi, wymachującemu olbrzymim sombrero i dzikimi ruchami przyciągającemu widzów.

Za nim stał zespół muzyczny, który na najróżniejszych instrumentach meksykańskich zaczął grać porywającą melodię.

Mężczyzna, wyglądający na meksykańskiego kowboja zaczął poruszać się w takt muzyki, przechodząc do znanego meksykańskiego tańca ludowego ze skomplikowanym układem kroków.

Tancerz wykonywał go z taką lekkością i zaangażowaniem, jak gdyby przez całe życie nie robił niczego innego. Prędko podbił więc publiczność, która klaskała i śpiewała z muzykami.

Gdy muzyka w końcu ucichła, tancerz skłonił się nisko kilka razy i znowu pomachał sombrero, tym razem zachęcając widzów do wrzucania tam ¹ pesos. Okrągła twarz błyszczała mu od potu, ale jego oczy promieniały.

Orkiestra grała dalej i stojący dookoła niej zaczęli tańczyć.

Mark porwał Dianę i zaczął z nią wirować w szalonym

tempie, aż po pewnym czasie brakło jej tchu i poprosiła go, by trochę zwolnił.

Że też nikomu nie przyjdzie do głowy rzucić mi choć jedno peso za ten publiczny taniec — powiedziała śmiejąc się. Musiała przytrzymać się Marka, bo w końcu okręciło jej się w głowie.

- Co powiedziała byś na pałą wzmocnienie przed dalszymi wyczynami? — zapytał ją.

Diana uznała, że to dobry pomysł i gdy po chwili stali UŻ przy jednym z licznych stoisk z przekąskami i jedli pikantną tortillę, Mark powiedział: — No, zdaje mi się, że tlie tylko ja mam język z azbestu, co?

— Jeżeli człowiek zdany jest na kuchnię Marii, to to ze tylko dziecinną igraszką — odparła, nieprzerwanie zując placek.

— Tak — powiedział Mark, gdy ruszyli dalej. — To naprawdę godne podziwu, jak prędko przyzwyczaiłaś się do tylu obcych rzeczy.

Diana włożyła ostatni kęs tortilli do ust. — Nic dziwnego, że przychodzi mi to łatwo, ponieważ wy mi to ułatwiacie. Jesteście naprawdę cudowni. To mi bardzo pomogło.

Mark zatrzymał się nagle i wziął jej rękę. — Zdaje się, że ja nie byłem dla ciebie zbyt miły — powiedział.

— Nauczyłam się też wiele od ciebie, zwłaszcza jeśli chodzi o pracę — Diana położyła specjalny nacisk na ostatnie słowa.

— Diano — wyskoczył nagle Mark — jest tyle rzeczy, o których muszę ci koniecznie powiedzieć. Właściwie chciałem z tym poczekać, aż skończymy tę pracę tutaj, ale...

— No, to porozmawiamy później — przerwała mu i odsunęła się nieco, by uniknąć jego dotyku.

Poszła dalej i zatrzymała się przy stoisku z biżuterią.

— Och, patrz, fo właśnie ta ozdoba, którą uważam za

Lila Leonard

najpiękniejszą. Tak trudno to znaleźć! — zawołała zachwycona.

Na stole stały skrzyneczki z najbardziej wyszukаныmi, ręcznie wykonаныmi srebrnymi ozdobami. Diana schyliła się i oglądała sztukę po sztuce.

Mark, niby to mimochodem, objął ją w pasie. Razem przeżywali beztroską atmosferę w promieniach słońca, które w końcu znalazły sobie przejścia przez początkowo grubą warstwę chmur.

Po kilku godzinach zaczęli powoli schodzić się do jeepa. W powrotnej drodze uwagę Diany przyciągnął stary, na wpół zrujnowany budynek, stojący na skraju drogi.

Na jej pytanie, co to jest, Juan odpowiedział, że to ruiny starego kościoła, spalonego dawno temu, który został zastąpiony przez kościół na rynku. Dianie przyszła do głowy pewna myśl, ale zaraz zapomniała o tym, rozprószona żywą rozmową innych.

Dobry nastrój utrzymywał się także podczas kolacji. Gdy trzy kobiety, jak zwykle; uporały się ze zmywaniem naczyń, Diana powiedziała: — Mario, możesz chwileczkę poczekać?

Pobiegła do swojego pokoju i zaraz wróciła z arkuszem papieru, na którym namalowany był portret Juana przy pracy.

Od kilku dni Diana wykorzystywała część przerwy na lunch, portretując chłopca. Obraz oddawał chęć, ambicję i powagę, z jaką Juan wykonywał swoją pracę.

Oczy Marii zabłysły z radości, gdy objęła Dianę. Wychodząc, powiedziała do Marka: — *Es una muchacha encantadora.*

Mark uśmiechnął się i skinął potwierdzająco głową.

— A na koniec jeszcze trochę muzyki — zawołał zuchwale Peter i chwycił za gitarę. Przez chwilę śpiewali

razem, a potem zaczęli się powoli rozchodzić. Wreszcie w pomieszczeniu zostali tylko Mark i Diana.

— Co Maria powiedziała ci przed wyjściem do domu? — chciała dowiedzieć się Diana.

Mark spojrzął na nią, a w jego stalowoszarych oczach tańczyły ogniki. — Powiedziała: *es una muchacha encantadora*, to znaczy; ona jest miłą dziewczyną. Gdy Maria mówi coś takiego, to myśli tak poważnie. Ja zresztą całkowicie się z nią zgadzam, chociaż uważam, że słowo "miła" niezupełnie trafia w sedno. Ja powiedziałbym: kochana, czarująca.

Powiedziawszy to, odwrócił się i prędko wyszedł.

Diana stała na środku pokoju z pałającymi policzkami i próbowała przyjść do siebie. Powoli dochodziła do wniosku, że przez cały czas trochę się oszukiwała.

— Sama sobie mydlisz oczy — powiedziała do siebie na głos, stojąc przed łóżkiem i zdejmując ubrania.

Przyznaj się, że zadurzyłaś się w nim po uszy! Topniejesz jak śnieg na słońcu, gdy tylko spojrzy na ciebie, a jak cię dotknie, to już zapominasz o całym bożym świecie,

Diana weszła pod kołdrę, trochę oszołomiona, ale zadowolona z przebiegu dnia. Prędko zasnęła gdyż dzień był nie tylko ekscytujący, ale też męczący.

Następnego ranka Diana zbudziła się wcześniej i-ponieważ czuła się bardzo rześko, od razu wyskoczyła z łóżka ubrała się.

W kuchni zrobiła sobie filiżankę kawy, a następnie uzbrojona w papier i ołówek przycupnęła na schodkach przed wejściem do domu, by porysować.

Diana bardzo lubiła te wczesne poranne godziny, gdy w dolinach panował jeszcze półmrok i wszędzie było tak spokojnie i cicho.

— A więc to ty straszysz tu co rano — usłyszała- za

Lila Leonard

sobą nagle. — Nieraz już zastanawiałem się, czyją to filiżankę zastaję rano pustą w zlewozmywaku — Mark usiadł na stopniu obok niej. — No tak, teraz wreszcie wiem wszystko — pogładził ręką włosy Diany, które o brzasku błyszczały miedzią.

Diana chciała odgarnąć kosmyk z czoła, ale Mark chwycił ją za rękę i powiedział niezwykle miękko jak na niego głosem:

— Nie, zostaw. Tak właśnie wyglądasz ślicznie.

Przesunął palcem wzdłuż owalnego dekoltu jej niebieskiego T-shirta, a następnie podniósł jej twarz.

— Wyglądasz jak porcelanowa laleczka — powiedział z osobliwym uśmiechem. — Choć trochę dziwna to porcelanowa lalka, bo z piegami — dodał zaczepnie. — Wiesz, mam tu coś dla ciebie — sięgnął do kieszeni spodni, a po chwili wyjął rękę. Gdy ją powoli otwierał, Diana ujrzła mały srebrny wisiołek w kształcie klucza na cieniutkim srebrnym łańcuszku.

Diana aż zapało dech. Oczy błyszczały jej jak gwiazdy, gdy wyjąkała: — Och, jaki... jaki śliczny.

Mark chwycił ją za ramiona i obrócił plecami do siebie. Ostrożnie założył jej łańcuszek wokół szyi i zapiął na karku. Następnie pocałował ją w ramię i szepnął: — *Es una muchacha encantadora.*

Diana obróciła się do niego, objęła go rękami za szyję i przyciągnęła do siebie. Pocałowała go z namiętnością, nieświadomie zdradzającą jej uczucia w tym momencie wobec niego. Następnie przytuliła się do niego, odbierając jego czułości w porannym słońcu jako coś najbardziej oczywistego w świecie.

— Ale to teraz nie miało jakiegokolwiek związku z naszym zadaniem tutaj — powiedział żartem Mark, marszcząc czoło. — Jednak było bardzo przyjemne — dorzucił śmiejąc się i nachylił się, żeby ją pocałować.

Diana odsunęła go zdecydowanie i popatrzyła na niego poważnie. Użył jej słowa „zadanie”.

- Mark — zaczęła — zamierzałam jeszcze dzisiaj coś z toba omówić. W takim razie mogę to zrobić teraz. Pół nocy nie spałam, bo coś mi chodziło po głowie. Przypominasz sobie co Juan powiedział wczoraj o ruinach starego kościoła? Czy nie moglibyśmy tam poszukać? Brakuje już niewiele części do serii fresków, które zestawiałam. Jeżeli znaleźlibyśmy je, to udowodnilibyśmy twoją teorię. W książce, którą mi wiedzy podarowałeś, jest napisane, że Hiszpanie budowali często swoje kościoły na ruinach świątyń. W miejscu, gdzie kopiemy od tygodnia, nie pojawiło się nic nowego. Dlaczego nie moglibyśmy poszukać szczęścia gdzie indziej?

- Nie, Diano. To nie takie proste — powiedział cierpliwie Mark. — Nie możemy ot tak po prostu skakać z jednego miejsca na drugie.

- Ale moglibyśmy spróbować choć w tym jednym miejscu — upierała się Diana.

— Nie! — głos Marka przybrał teraz ostry ton. — Jestem przekonany, że teraz kopiemy na terenie, gdzie istnieją największe szanse znalezienia czegoś i dlatego też tam zostaniemy.

Wstał i pociągnął za sobą Dianę. — Chodź, wejdziemy. Od razu i zjemy śniadanie — powiedział łagodniej. — Jeśli się nie pospieszymy, to odjadą bez nas. A to bardzo kusząca sytuacja — powiedział jeszcze, wchodząc do domu przed Dianą.

Diana miała tego dnia trudności w skoncentrowaniu się na pracy. Słońce grzało niezwykle mocno, a pozd tym ciągle przychodził jej na myśl stary kościół i wzbranianie się Marka przed szukaniem właśnie tam. Nie mogła zrozumieć jego reakcji. Dlaczego nie chciał zaryzykować? Nie mieli przecież nic do stracenia!

Po kolacji Diana grała z małżeństwem Katanich w kar-

Lila Leonard

ty, a Mark i Peter rozpostarli na stole wielką mapę i spędzili wieczór na sporządzaniu protokołu z pracy - w ostatnich dniach. Siedzieli do późnej nocy. Gdy wszyscy pozostali poszli spać, oni jeszcze pracowali.

Następnego ranka Diana zbudziła się cała złana potem. Jeszcze nigdy nie odczuwała przy przebudzeniu tak przytłaczającego i nieprzyjemnego gorąca.

Wstała, umyła się zimną wodą i postanowiła wyjątkowo zamiast dżinsów włożyć przewiewną spódnice do kolan z cienkiej bawełny i sandały.

Dziś jest naprawdę o wiele za ciepło na botki, usprawiedliwiała się przed sobą, gdyż wiedziała, że takie ubranie nie było akurat najodpowiedniejsze do pracy.

— Jak ładnie wyglądasz! — zawołała Tina, gdy Diana pojawiła się w kuchni.

— Ale to chyba niezbyt praktyczne, co? — zamruczał pod nosem Henry.

— To prawda — musiała przyznać Diana. — Ale dziś jest tak strasznie gorąco.

— Bezpieczeństwo przed wygodą — skomentował Peter i podniósł żartobliwie palec wskazujący. — Musisz uważać, żeby owady nie pokłuły cię w nogi.

Początkowo wszystko szło dobrze. Jednak po paru godzinach komary odkryły odsłonięte nogi Diany i wkrótce dalsza praca stała się niemożliwa.

W końcu Diana dała za wygraną i poszła do Petera, poradzić się, co ma zrobić. Ponieważ miał opinię świetnie we wszystko wyposażonego, również jeśli idzie o zaopatrzenie medyczne, miała nadzieję, że będzie miał też coś na ukąszenia owadów.

Dowiedziała się, że rzeczywiście, w jeepie pod siedzeniem znajduje się apteczka pierwszej pomocy, w której jest też spray na owady.

Wdrapała się na jeeпа i nte szukając długo, znalazła spray. W jednej ręce trzymała pojemnik, a drugą otwierała drzwi, chcąc wysiąść z auta. Pechowo jednak zaczepiła się spódnicą o klamkę i nie mogła swobodnie zeskokczyć. Otarła sobie skórę na nodze i na ramieniu i wylądowała twardo na ziemi. Krzyknęła głośno z bólu. W parę sekund później Mark był już przy niej.

— Nie ruszaj się! — rozkazał, ostrożnie poruszając jej kończynami, by stwierdzić, czy czegoś nie złamała. Wyglądało jednak na to, że oprócz otarć skóry ma jeszcze tylko uszkodzoną kostkę prawej nogi, która w ciągu kilku sekund mocno spuchła.

Tymczasem doszli też inni i przyglądali się jej ze współczuciem.

Mark poinformował ich, że odwiezie Dianę do domu i obłoży jej kostkę lodem. Następnie podniósł ją i posadził w samochodzie.

Ból nogi wzmagał się i Diana zagryzała wargi, żeby nie płakać.

Mark jechał powoli i ostrożnie. Diana przymknęła oczy i starała się nie myśleć o bólu. Gdy wreszcie zatrzymali się przed szkołą, Mark wyciągnął ją z auta, wniósł do środka i położył ostrożnie na kanapie. Następnie napełnił kilka plastikowych torebek lodem i przyłożył Dianie na kostkę.

Dziewczyna jęknęła, gdy lodowate woreczki dotknęły jej nogi, ale już po paru minutach wydało jej się, że zimno wyciągało ból z kostki.

Mark stał obok niej i obserwował, jak Diana powoli przychodzi do siebie. — Sądzę, że to zwichnięcie, jeśli jednak do jutra rana nic się nie poprawi, to będziemy musieli pojechać do Cholula i znaleźć lekarza.

— Och, na pewno przejdzie — powiedziała z ufnością Diana. — Byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdybym wam narobiła tyle kłopotu.

Lila Leonard

— Ależ nie robisz żadnego kłopotu — zaprotestowała. — Martwimy się wszyscy o ciebie, bo cię lubimy.

Gdy to mówił, grzebał w apteczce pierwszej pomocy, która stała w sali. Wyciągnął z niej plaster i jakąś maść.

— No, pokaż teraz, gdzie się skaleczyłaś — powiedział.

Diana zrobiła wielkie oczy. Co jeszcze chciał zrobić?

— Popatrz, na rękawie bluzki masz krew. Skaleczyłaś się?

— Chyba... chyba nie — odparła Diana, nie poruszając się?

— Posłuchaj, jeżeli nie zdejmiesz bluzki sama, to zrobię to ja — powiedział z groźbą w głosie.

Diana z wahaniem rozpinała guzik po guziku, a Mark pomógł jej ściągnąć bluzkę. Wyglądało na to, że nie zwraca uwagi na jej kształtne ramiona i piersi.

— No, to miałaś szczęście. Masz tylko zadraśniętą skórę, to wszystko — powiedział rzeczowo, ostrożnie posmarował ranę maścią i przewiązał bandażem. — Mam nadzieję, że z nogą jest podobnie — powiedział podciągając jej nieco spódnicę.

Diana zeszywniała i spróbowała trochę się odsunąć, ale pod wpływem ostrego tonu Marka opamiętała się.

— Jak mógłbym spojrzeć twojemu ojcu w twarz, gdyby ci się rzeczywiście coś stało? Muszę mieć przynajmniej pewność, że nic więcej ci nie dolega. Nie upieraj się więc!

Diana leżała całkiem spokojnie, podczas gdy Mark rozpinał i ściągał jej spódnicę.

— No, widzisz, to samo co z ręką — powiedział uspokajając ją i ostrożnie posmarował udo maścią.

Wtedy zauważył, że oczy Diany były wilgotne od łez.

— Czy to tale bardzo boli? — zapytał i wytarł jej łzę na policzku.

— Nie, nie, to nie o to chodzi — zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. — Tylko czuję się tak głupio i bezradnie.

— Dlaczego nie włożyłaś, jak zawsze, dzinsów? — zapytał.

Wreszcie Dianie wrócił nastrój do żartów. — Spodnie są w tym roku niemodne — zaświergotała, naśladując przy tym dokładnie głos i intonację Liz.

Mark odchylił głowę do tyłu i też się głośno roześmiał. Po chwili jednak spoważniał, wyciągnął rękę i pogłaskał Dianę po policzku, po szyi i ramionach. Następnie schylił się nad nią i pocałował ją w szyję w miejscu, gdzie leżał mały srebrny kluczyk.

Ręce Diany, jak gdyby żyły własnym życiem, powędrowały po nagich plecach Marka. Gdy poczuł jej dotyk, ciało jego przeszył dreszcz. Ustami i rękami pieścił ją wszędzie, a Diana przytuliła się do niego najmocniej, jak mogła. Jej spragnione usta szukały ust Marka. Przywarła do niego mocno.

Przesunęła się nieco w bok, by zrobić mu miejsce przy sobie. Poczowała wtedy kłujący ból w kostce. Tylko nieznacznie poruszyła nogą, ale to wystarczyło, żeby zabołało ją tak, że aż jęknęła.

Mark puścił ją i wyprostował się. — Och, tak mi przykro. Nie chciałem cię urazić.

— A mnie nie jest przykro — powiedziała z uśmiechem Diana i przesunęła palcem po zarysie jego warg.

Mark poprawił jeden z woreczków z lodem, który się przemieścił, a następnie powiedział: — Wrócę teraz do tamtych. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli poleżysz sobie spokojnie i dasz nodze odpocząć.

Podniósł się, przez moment stał przy niej i patrzył na nią z góry.

— Pamiętasz jeszcze nasz pierwszy wspólny dzień na

Lila Leonard

pływalni? — zapytał. Wzrok jego z podziwem powędrował po jej szczupłym ciele. — Miałaś wtedy rację. Rzeczywiście miałaś za dużo na sobie.

Następnie pochylił się, włożył jej z powrotem bluzkę i spódnicę, pocałował ją w czubek nosa i wyszedł.

Gdy wieczorem wszyscy wrócili, Diana czuła się już wyraźnie lepiej. Wieczór spędziła siedząc z podniesioną nogą w fotelu. Maria stale zmieniała jej woreczki z lodem.

Po kolacji omawiano sprawy finansowe. Mark i Peter oznajmili, że pieniądze przeznaczone na ich program badawczy kończą się.

Jedyną realną możliwością zdobycia dodatkowych pieniędzy był wyjazd na odbywającą się właśnie w Mexico City konferencję komisji do spraw współpracy meksykańsko-amerykańskiej w dziedzinie antropologii i uzyskanie stamtąd jakichś środków.

Mark uzgodnił spotkanie już na następny dzień. Miał nadzieję, że pozwoliliby to im przetrwać przynajmniej porę deszczową.

Nazajutrz wybrali się wcześniej na obozowisko, by Mark i Juan mogli pojechać do Mexico City.

Diana upierała się przy tym, żeby pracować, w końcu zgodziła się na kompromis, że będzie robiła wszystko na siedząco.

Juan wrócił z miasta już wczesnym popołudniem z wiadomością, że jeżeli Mark chce coś wskórać, to musi tam zostać prawdopodobnie przez kilka dni.

Wieczorem Diana opowiedziała Peterowi o swoim pomysle, by zmienić miejsce poszukiwań, i spytała go o jego zdanie,

Peter zmarszczył czoło. — Nie sądzę, żeby Mark się zgodził.

- *Och?* Peter — nalegała — mam przeczucie, że właśnie tam znajdziemy wartościowe wykopaliska.

Uważam, że miejsce, w którym teraz kopujemy, nie przyniesie tego, czego szukamy — oczy błyszczały jej z podniecenia.

Peter zrobił sceptyczną minę. — Diano, nie można ot tak, po prostu, zaczynać wykopalisk tylko dlatego, że przeczucie komuś podpowiada, że to właściwe miejsce. Mark spędził całe tygodnie na wyszukiwaniu najodpowiedniejszego terenu.

— Wiem — potwierdziła Diana. — I znaleźliśmy fantastyczne rzeczy, temu nie da się zaprzeczyć. Mój pomysł jest w gruncie rzeczy tak prymitywny, że może dlatego Mark nie wziął go pod uwagę. Juan i ja zestawiliśmy dwie różne serie fresków, które pochodzą z różnych terenów. W obu tych cyklach brakuje jeszcze jednak kilku ważnych płyt. Jeżeli pod tym kościołem znajdują się też jakies pozostałości po świątyni, to nie jest wykluczone, że są tam także i te płyty — Diana spojrzała pytająco na Petera.

— Czy to nie może poczekać jeszcze trzech dni, aż wróci Mark? Na pewno będzie lepiej, jeśli najpierw sama z nim o tym porozmawiasz — zauważył Peter.

— Przecież wiesz, że wkrótce zacznie się pora deszczowa, a wtedy nie będzie można już nigdzie kopać. Musimy się pospieszyć. A poza tym chciałabym zrobić Markowi niespodziankę — dodała z błyskiem w oczach. — Biorę na siebie całą odpowiedzialność...

— No dobrze — powiedział w końcu nie bez oporu — to twoja dziedzina. Możesz spróbować. Ale ostrzegam cię, Mark nie lubi niespodzianek tego typu, wiem coś na ten temat.

Diana rzuciła się Peterowi na szyję z okrzykiem radości i mocno go uścisnęła.

Lila Leonard

Następnego ranka, zaopatrzona w mapy i wszystkie inne niezbędne dokumenty, wyruszyła w towarzystwie Juana w kierunku starego kościoła.

Dość prędko uporali się z wytyczeniem terenu pod wykopaliska i już przed południem Juan zaczął manewrować koparką między kamieniami i okruchami skał.

Kostka Diany była jeszcze trochę obrzmiała, od czasu do czasu odczuwała kłujący ból, ale była tak bardzo przejęta swoim nowym zadaniem, że starała się to zignorować.

Podczas trzech dni nieobecności Marka nieprzerwanie kopali. Efekty były jednak znikome. Wydobyli na światło dzienne jedynie kilka niewiele znaczących kawałków, które, jak Diana natychmiast stwierdziła, można było spotkać w całym Meksyku.

Podczas pośpiesznie zjedanego obiadu Diana powiedziała do Juana: — Mam nadzieję, że misja Marka się powiedzie. Koniecznie musimy pracować dalej.

Juan poważnie przytaknął. — Pan Harrison powiedział do panny van Dorn, że będziemy musieli przerwać, jeżeli nie dostanie pieniędzy...

Diana spojrzała na niego wielkimi oczami. — Panna van Dorn była w Mexico City? — zapytała powoli.

-TT Tak. Wróciła właśnie z Acapulco. Chciała dowiedzieć się wszystkich szczegółów dotyczących naszej pracy. Pan Harrison mieszka w Camino Real, ponieważ ona tam mieszka.

W głowie Diany zakotłowało się. Mark i Liz w tym samym hotelu?

I to po tym, jak podarował jej piękny łańcuszek? Po tym, jak namiętnie ją całował? Po tym, jak byli sobie tak bliscy, że nie było już prawie odwrotu? Mimowolnie ścisnęła palcami mały srebrny kluczyk.

Diana potrząsnęła głową, na próżno starając się po-

LATO z Markiem

zbierać myśli. Jakie mogło być wytłumaczenie takiego zachowania Marka? Czy w ogóle istniało jakieś wytłumaczenie?

— Chodź, wracamy do pracy — powiedziała szorstko do Juana i poderwała się z miejsca.

10

Wszędzie rozlegały się okrzyki powitania, gdy następnego ranka na placu pojawił się czerwony jeep. Mark otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Długimi krokami przeszedł przez plac w kierunku Diany.

Serce waliło jej jak szalone, gdy patrzyła na niego. Ogromnie się cieszyła, że znowu go widzi, i czuła nieodpartą potrzebę objęcia go za szyję na powitanie i mocnego przytulenia go do siebie.

— Jakim prawem ingerujesz tak bardzo w ten program? — wrzasnął na nią Mark, stając przed nią. Jego stalowoszare oczy iskrzyły się gniewem. — Kto ci pozwolił zaarrestować część wyposażenia i odrywać od pracy wartościowego pracownika?

Diana wpatrywała się w niego bez słowa. Była tak zaskoczona tym jego wybuchem gniewu, że nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa na swoją obronę.

— Złamałaś niepisane zasady tego zespołu i jeszcze do tego zaszkodziłaś swojemu zdrowiu — wyrzucił z siebie patrząc na jej ciągle jeszcze opuchniętą nogę. — Chyba wcale nie wiesz, co to znaczy odpowiedzialność.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę — były to jedyne słowa Diany.

Ale Marka nie można było już powstrzymać. —

Lato z Markiem

Ja jestem kierownikiem tego programu, a co za tym idzie, to ja podejmuję decyzje — wskazał na freski na stole Diany. — Ty zostałam tu zatrudniona po to, by klasyfikować te rzeczy i nic ponadto. Chyba mam prawo oczekiwać, że będziesz wywiązywać się ze swoich zadań; a nie zajmować się innymi sprawami, które w dodatku są zupełnie bezsensowne!

Tego już było za wiele. Oczy Diany ciskały błyskawice, gdy raptownie wybuchnęła: — A jakim prawem ty tak na mnie wrzeszczysz i zgrywasz silnego mężczyznę? Nawet przez moment nie dałeś mi dojść do głosu! Nie przyszło ci do głowy zapytać o wyjaśnienie! Pewnie myślisz, że wszyscy muszą tańczyć, jak ty im zagrasz, co?

— Tak, tak właśnie myślę! — fuknął na nią. — A jeżeli ty nie jesteś w stanie zrozumieć, że przy takim przedsięwzięciu może być tylko jeden kierownik, to będzie lepiej, jeśli nas opuścisz!

— Jeżeli tylko dziś wieczór jest jakiś samolot, to na pewno nim odjadę, możesz być spokojny! — powiedziawszy to odwróciła się i pobiegła do namiotu, żeby Mark nie zobaczył, że jest bliska płaczu.

Popołudnie jakoś przeszło, a gdy tylko wrócili do szkoły, Diana jako pierwsza wyskoczyła z samochodu i natychmiast wpadła do pokoju, by się spakować.

Peter wyszukał jej lot i zaproponował, że ją odwiezie na lotnisko, co Diana z wdzięcznością przyjęła.

W chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. Stała w nich Maria, z łzami w oczach i dużym półmiskiem tortill w ręku.

— Masz, zjedz — powiedziała tylko. Następnie serdecznie uściśnęła Dianę i szybko odeszła.

Wkrótce pojawili się Katani. Tina uściśnęła rękę Diany i powiedziała ze smutkiem: — Szkoda, że odjeżdżasz. Sądzę, że to zwykłe nieporozumienie.

Lila Leonard

— Nie, to nie zwykłe nieporozumienie — sprzeciwiła się Diana. — Po prostu stało się jasne, że Mark i ja nie możemy ze sobą współpracować.

— Czasami najtrudniej pracuje się z ludźmi, którzy są nam najbliżsi — powiedziała spokojnie Tina. — Nie chciałaś tego jeszcze raz przemyśleć?

— Nie, nie mogę tu zostać — powiedziała przytłumionym głosem i ponownie bliska płaczu.

— Szkoda — profesor Katani potrząsnął głową. Zrobiłaś dobrą robotę.

Wtedy najgłośniej w drzwiach pojawił się Mark. Co właściwie powiesz swemu ojcu? — zapytał gorzkim tonem.

— Prawdę — odparła chłodno Diana. — Że nie możemy pracować razem.

Rozpięła zamek srebrnego łańcuszka i podała go Markowi. — Myślę, że będzie lepiej, jak ci to oddam — wyjaśniła lodowatym tonem.

Jednak Mark podniósł ręce w geście sprzeciwu. — Nie, zatrzymaj go. Jesteś jedyną osobą, która ma prawo go nosić — powiedział i odwróciwszy się w miejscu, wyszedł z pokoju.

Gdy Diana i Peter wkładali bagaż do jeepa, z cienia budynku szkolnego wyłoniła się jakaś postać. Juan uściśniętą mocno ręką Diany na pożegnanie i powiedział: — Bardzo, bardzo mi przykro, pani Larkin.

Diana wiedziała, że czuje się współwinni, ponieważ tak energicznie pomagał w jej planie, więc powiedziała: — To nie twoja wina, Juan, ty robiłeś tylko to, o co ja cię prosiłam. Niezależnie od tego ciągle jeszcze jestem mocno przekonana, że byliśmy na dobrym tropie.

Diana podniosła głowę z pewnością siebie i usiadła w samochodzie obok Petera.

Było już prawie ciemno i ciężkie, nisko wiszące chmury

pokrywały niebo. Mokra droga skrzyła się w świetle reflektorów.

Jaka różnica w porównaniu z moim przyjazdem, po-
--słała Diana ze smutkiem.

Wtedy była pełna oczekiwań i radości na to, co ją czekało. Teraz odczuwała tylko żal i rozczarowanie. Jeżeli Mark mógł ją tak zbesztać przy wszystkich, nie dając jej szansy na obronę, to na pewno jej nie kochał.

Dotknęła ręką srebrnego kluczyka na szyi. Chyba tylko z powodu swojego uporu obstawał przy tym, żeby zachowała jego prezent.

— Diano — zaczął ostrożnie Peter — czy naprawdę jesteś całkiem pewna, że chcesz wyjechać? Zwróciłem ci przecież uwagę, że nie można ot, tak sobie podważać autorytetu kierownika programu. Ale jestem pewien, że gdybyś jeszcze raz porozmawiała z Markiem...

— Nie miał prawa tak mnie poniżyć! — wpadła mu zdecydowanie w słowo. — W Końcu nie jestem małą dziewczynką!

— Mark nie uważa cię za małą dziewczynkę, możesz mi wierzyć — powiedział Peter. — Poza tym trzeba wziąć pod uwagę bardzo silną presję, jaką odczuwał, zanim wreszcie udało mu się przekonać komisję, że warto przeznaczyć dodatkowe środki na nasz program...

— Peter! Naprawdę mu się to udało? — twarz Diany promieniała i dziewczyna na chwilę zapomniała o swoim smutku. — To cudownie! — cieszyła się.

— Można tak powiedzieć — potwierdził Peter. — W każdym razie będziemy mogli popracować tu jeszcze jeden miesiąc, co jednak zależy też od pogody. Także i to bardzo trapi Marka. Pora deszczowa zaczęła się tym uizem wcześniej niż tego oczekiwaliśmy. No, do tego jeszcze Liz..,

Liz! W całym zdenerwowaniu Diana zapomniała, że

Lila Leonard

przecież Liz jeszcze była tu także! Nagle zaczęła pojmo-
wać. Oczywiście, teraz, gdy wróciła Liz, Mark przesta
interesować się nią, Diana.

— Nie, Peter — powiedziała stanowczo. — Naprawdę
będzie najlepiej, jeśli polecę do domu. W obecnej sytuacji
byłabym tylko przeszkodą.

Gdy samolot Diany wzniósł się, Mexico City znaj-
dowało się jeszcze w głębokim śnie. Nie widać było
piramid. Wszystko, oprócz morza świateł wielkiego mias
i białego wierzchołka Popocatepetl, tonęło w ciemn
ściach.

Diana oparła się wygodnie, przymknęła oczy i próbo-
wała o niczym nie myśleć.

Po kilku godzinach brzask odsłonił znajomy widok
Illinois. Mój dom, pomyślała z ulgą Diana. Nie oczekiwa-
ła, że ojciec wyjedzie po nią na lotnisko.

Gdy go zobaczyła, padli sobie bez słów w ramiona.

— Dobrze, że cię znowu mam przy sobie — po-
wiedział Joseph Larkin.

W samochodzie ojca poczuła się bezpieczna, ale jednak
bardzo samotna.

Po przyjeździe do domu poszła od razu do łóżka.
Nie mogła po prostu wytrzymać dłużej zmęczenia i roz-
czarowania.

Jeszcze tego samego dnia, po kolacji, Diana siedziała
z ojcem w jego gabinecie i opowiadała mu ze szczegółami
o swojej pracy w Meksyku.

Początkowo była trochę przygnębiona i roztargniona
ale wkrótce entuzjazm wzięły górę i z zapałem odpowiadał
na wszystkie pytania, jakie zadawał jej ojciec.

— Wygląda na to, że dużo się tam nauczyłaś — po-
wiedział w końcu z życzliwością. — Ja sam nigdy nie
spotkałem Katanich, ale są znanymi w świecie i poważ-

nymi naukowcami. A Peter to też bardzo dobry człowiek. **Miałaś** niezwykle szczęście, że mogłaś pracować z ludźmi **takiego** kalibru.

Następnie położył rękę na ramieniu córki i spytał:

— Nie chcesz mi opowiedzieć, co zaszło między tobą i Markiem? Znam Marka bardzo dobrze i nie mogę zrozumieć, że tak się stało.

Diana nabrała powietrza i po kolei opowiedziała ojcu, co się wydarzyło. Starła się być przy tym jak najbardziej rzeczowa.

Jednak wspomnienie było zbyt świeże. Nagle znowu zobaczyła to wszystko przed sobą: jej pierwszy dzień w Mexico City, miłe wieczory w szkole, po pracowitym dniu. A ponad wszystkimi wspomnieniami unosiły się szare oczy Marka, zimne, nawet lodowate, lub ciepłe i czułe. Zdawało się jej, że czuje jego usta i ręce, które ją pieszczą...

Tego było jednak za wiele i Diana nie mogła dłużej powstrzymać łez.

Joseph Larkin objął czule córkę i pogłaskał ją po włosach, chcąc ją uspokoić. Następnie powiedział poważnym tonem: — Posłuchaj, nie ulega wątpliwości, że bardzo dobrze wykonywałaś swoją pracę i byłaś ważnym członkiem zespołu, ale popełniłaś duży błąd.

Diana przeraziła się, słysząc to. Zbita z tropu patrzyła na ojca.

— Mark miał rację — ciągnął dalej. — Przy pracy nad takim programem może istnieć tylko jednoosobowe kierownictwo, inaczej wszystko skazane jest na niepowodzenie. Absolutnie powinnaś była poczekać, aż on wróci i wtedy na spokojnie jeszcze raz to z nim przedyskutować. Założę się, że po pewnym wahaniu przystałby na ten pomysł — Joseph Larkin patrzył badawczo na córkę. — Mark bardzo sobie ciebie ceni.

Lila Leonard

— To dlaczego tak mnie przy wszystkich poniżył? — zapytała z uporem.

— No, wiesz — mówił ojciec uśmiechając się — w takich warunkach, jakie tam panowały nietrudno o utratę cierpliwości. A twoje zachowanie było naprawdę trochę niezwykle.

Spieszył się z dalszym mówieniem, zanim Diana mogła zaprotestować:

— Mam ci powiedzieć, dlaczego Mark ze wszystkich ubiegających się wybrał akurat ciebie? Częściowo, oczywiście, chciał mnie zrobić przysługę. Możesz mi wierzyć, że zgoda na to nie przyszła mi łatwo. Ale przecież mogłem mieć pewność, że przy Marku będziesz w dobrych rękach. Drugi powód jest natury osobistej i jestem przekonany, że on sam ci go wyjawia.

— Nie mam ochoty zobaczyć Marka kiedykolwiek w przyszłości — wybuchnęła Diana ze złością.

— To nie byłoby zbyt mądre — skarcił ją ojciec. Kiedy będzie sporządzane ostateczne sprawozdanie z programu, to i ty będziesz musiała dla jego pełnego obrazu podzielić się swoimi doświadczeniami.

— Mark jest tak zacięty, że na pewno mnie o to nie poprosi — odparła z uporem.

11

Nadeszła wiosna i Diana żyła swoim dawnym życiem i przyzwyczajeniami. Często spotykała się z przyjaciółmi, ale większą część czasu spędzała w uniwersyteckiej bibliotece, przygotowując się do egzaminu dyplomowego.

Nie chodziła na przyjęcia tak często jak dawniej. Wolała wieczorami czytać lub rysować. Potem przyszło lato. W całym Illinois panowały parne upały, które przypominały Dianie ostatnie tygodnie w Meksyku.

Dotąd nie słyszała nic więcej na temat ekspedycji. Często zadawała sobie pytanie, czy też praca została doprowadzona tam do końca. Była jednak zbyt dumna, by napisać do Petera i zapytać go o to. A Peter, dobrze o tym wiedział, był za bardzo zajęty, by prowadzić z nią korespondencję.

Pewnego dnia Diana wróciła z uniwersytetu do domu i stwierdziła, że ojciec czeka już na nią z niecierpliwością.

— Popatrz no — powiedział, wymachując jednym z czasopism, które prenumerował.

Otworzył pismo i pokazał jej artykuł z nagłówkiem *Potwierdzenie naukowej teorii!*

Diana prędko rzuciła okiem na artykuł, a następnie jeszcze raz zaczęła go powoli czytać od początku.

Autor przytaczał drogę naukową Marka i historię powstania jego teorii. Następnie w krótkim zarysie przedstawiał pracę nad programem i wnioski wyciągnięte przez Marka.

Artykuł kończył się uwagą, że szczegóły ukażą się w obszernym sprawozdaniu, nad którym członkowie zespołu badawczego jeszcze pracują. Przytoczono wszystkie nazwiska, oprócz jej, Diany.

Ledwie skończyła czytać, a zadzwonił telefon.

— Halo, tu jest jeszcze bardziej gorąco niż w Meksyku — usłyszała dobrze znajomy głos. To był Peter.

— Peter! — zawołała zaskoczona i jednocześnie uradowana. — Skąd dzwonisz?

— Z Chicago. Wczoraj tu przyjechaliśmy. Jesteśmy wszyscy u Marka i ślęczymy nad sprawozdaniem. Dlatego też dzwonię do ciebie. Mark chciałby, żebyś tu przyjechała i sama napisała swoją część.

Diana przez moment milczała, a następnie spytała zmienionym głosem: — Dlaczego sam do mnie nie zadzwonił?

— Boi się, że go nie wysłuchasz.

— Od kiedy to wielki Mark Harrison jest wobec mnie taki nieśmiały? — zapytała z sarkazmem.

— Nie sądzę, żebyś właściwie oceniała jego stosunek do ciebie — powiedział Peter.

— Wszystko, co wiem, to to, że właśnie przeczytałam artykuł o programie, i widzę, że Marka nie było stać nawet na uprzejmość zamieszczenia na liście mojego nazwiska — wyjaśniła rozgniewana.

— Nie był pewien, czy ty w ogóle tego chcesz — odparł Peter i bardziej zdecydowanym tonem mówił dalej. — Dianko, to naprawdę ważne, żebyś nam pomogła napisać to

sprawozdanie. — Zamilkł na moment. — Właściwie nie powinienem jeszcze o tym mówić, ale najważniejsze dowody na potwierdzenie teorii Marka pochodzą rzeczywiście terenu, gdzie zaczęłaś wtedy kopać na własną rękę.

Dianie zaparło dech w piersi. To chyba niemożliwe!

— Czy mówisz serio? — zapytała z niedowierzaniem.

— Jak najbardziej — odpowiedział. — No, więc jak? Przyjedziesz nam pomóc?

— Nie, raczej nie — odmówiła. — Nie mam nic przeciw temu, żeby Mark zebrał laury, skoro i tak mam satysfakcję z tego, że mój pomysł nie był pozbawiony sensu.

Ponieważ było to ostatnie słowo Diany, rozmowa wnet się skończyła.

Minęło kilka miesięcy. Diana intensywnie przygotowywała się do egzaminów, także dlatego, by nie myśleć o programie i o Marku.

Gdy pewnego dnia wróciła do domu, jej ojciec właśnie odkładał słuchawkę.

— Telefonował Mark — powiedział do niej. — Jest w Champaign. Chciałby się z tobą spotkać.

— Nie — powiedziała natychmiast Diana i drżącymi palcami nalała sobie do szklanki soku pomarańczowego.

- Chciałby z tobą omówić sprawozdanie, zanim odda je oficjalnym instytucjom — powiedział profesor Larkin.

— Nic¹ chcę Marka więcej widzieć — rzuciła stanowczo i wyszła z pokoju.

Ojciec nie wracał do tematu i gdy Diana tego samego wieczoru po długiej przerwie znowu zamierzała iść na przyjęcie, powiedział tylko: — Do widzenia, moje dziecko. Baw się dobrze.

Tuż przed północą Diana wróciła do domu. Rzuciła okiem do salonu, by życzyć ojcu dobrej nocy, i stanęła w drzwiach jak wryta.

Oto z fotela podniosła się wysoka szczupła postać i podeszła w jej stronę. — Ta sytuacja nie jest nam obca, prawda?

Opaleniźna Marka była jeszcze ciemniejsza niż zapamiętała to Diana, ale jego twarz była niezwykle wychudła i zmęczona. Mimo to wyglądał bardziej interesująco niż dawniej i musiała panować nad uczuciami, by nie podbiec do niego i nie rzucić mu się w objęcia.

— Widzę, że znowu byłeś na przyjęciu — powiedział Mark tym dobrze jej znanym, ironicznym tonem, a wzrok jego powędrował po jej długiej srebrzystoniebieskiej spódnicy i eleganckiej białej bluzce.

Rudawe włosy Diany, lśniące w świetle lampy jak jedwab, spięte były po bokach dwoma srebrnymi klamerkami.

Mark wziął ze stołu gruby maszynopis i podał go Dianie. — Chciałbym, żebyś przeczytała to sprawozdanie i powiedziała mi, co o nim sądzisz.

— Myślę, że nie warto — odparła hardo. — O ile wiem, moje pomysły cię nie interesują.

— Przynajmniej bądź łaskawa przeczytać dedykację — mówiąc to Mark włożył jej maszynopis do ręki i pchnął lekko w kierunku sofy, by usiadła.

Dobrze, że tak się stało, gdyż po chwili kolana dziwnie ugięły się pod nią. Parę razy zamruła oczyma, jakby miała kłopoty z odczytaniem tekstu. Sprawozdanie napisane było na maszynie, jedynie na pierwszej stronie widniało odręczne pismo Marka.

Z niedowierzaniem czytała:

Dla Diany, która dzięki swojej niezwykłej fantazji i roztropności znalazła klucz do rozwiązania wszystkich problemów zawartych w tym sprawozdaniu, i która zawsze mieć będzie klucz do mojego serca.

Z miłością, M.H.

Mark usiadł obok Diany i wziął jej twarz w obie ręce. Jej zielone oczy patrzyły na niego promiennie. W niepamięć poszła gorycz, miłosne cierpienie i długa rozłąka.

Nie mogli przestać się ścisnąć i całować, nadrabiając stracony czas.

Po chwili Mark wypuścił jednak Dianę i zapytał: — Ciągłe nie masz zamiaru przeczytać sprawozdania?

— Nie. Ale to może poczekać, prawda?

— Masz rację — powiedział Mark uśmiechając się. Następnie jednak w jednej chwili spoważniał. — Diano, musiałem cię koniecznie zobaczyć. Twój ojciec nie sądził, żeby można było uratować to, co nas kiedyś łączyło. Jednak gdy wróciłaś i zauważyłem, że masz na szyi kluczyk, pomyślałem nagle, że może istnieje jeszcze dla nas szansa.

— Dlaczego upierałeś się przy tym, żebym go zostawiła, nawet po naszych okropnych... — Diana urwała w pół zdania. Przypomnienie kłótni sprawiło jej ból.

— Powód wyjaśniłem ci już wtedy, a powtórzyłem w dedykacji. Jesteś jedyną osobą, która ma klucz do mojego serca, a tym samym tylko ty masz prawo go nosić. Bardzo byłem wtedy rozgniewany, ale to nie mogło nic zmienić w mojej miłości do ciebie.

Diana przytuliła się do niego, prężąc ciało jak kotka. — Ale co z Liz? — zapytała nagle.

— Liz — Mark parsknął pogardliwie przez nos. — Ona jest o wiele gorsza niż te wszystkie studentki, z którymi musiałem walczyć przy poprzednich ekspedycjach.

A więc Peter jednak właściwie ocenił sytuację, pomyślała Diana nie bez satysfakcji.

— Ale pamiętam, jak powiedziała, że zaręczycie się, gdy tylko skończy się praca nad programem.

Mark pogłaskał ją czule po włosach. — Liz może się zaręczyć, kiedy i z kim chce, tylko nie ze mną. Ona

Lila Leonard

właściwie jest w porządku, tylko dla mnie nieco zbyt powierzchowna, jeżeli rozumiesz, o czym myślę.

Ciekawość Diany nie została jednak jeszcze zaspokojona. — Dlaczego więc spędziłeś z nią tyle czasu w Mexico City? — drażyła.

— Zazdrosna? — spytał Mark i pocałował ją.

— Tak, bardzo — odparła bez owijania w bawełnę.

Mark zaśmiał się w duchu. — Przypominasz sobie, co mi powiedziałaś o tych ekskluzywnych sklepach w Mexico City?

Diana skinęła, ale patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

— No, Liz raczej nie rozmawia podczas lotu ze stewardesami...

— Wyobrażam sobie — Dianie nagle zaczęło coś świtać w głowie. — Ona...

— Tak — powiedział Mark i zaśmiał się szeroko — Liz kupiła u Cartiera elegancki zegarek na rękę, ale okazało się, że w rzeczywistości ani zegarek, ani sklep nie są ekskluzywne. Gdy oszustwo wyszło na jaw, Liz strasznie się zirytowała i nie mogłem jej tak zostawić. No cóż, kosztowało mnie to dwa dni i musiałem wykazać się wyjątkową sztuką perswazji, aż w końcu zwrócili jej pieniądze. Nie mogłem doczekać się powrotu i opowiedzenia ci wszystkiego.

— Hm, no, a gdy przyjechałeś, powiedziałaś mi tymczasem to, że przejęłam kierowanie ekspedycją — cicho powiedziała skruszona Diana.

— Teraz wiem, że naprawdę chciałaś nam pomóc — odpowiedział Mark z nie mniejszą wyrozumiałością. — Zamiast cię zrugać, powinienem był cię wtedy pocałować.

Postanowił nadrobić to teraz. Gdy ją uwolnił z objęć, powiedział:

— Gdyby nie ty, nie udałooby się nam nigdy znaleźć dosyć dowodów na potwierdzenie mojej teorii.

Diana popatrzyła na niego pytająco. — Opowiedz mi o wszystkim...

— Gdy przyznano nam dodatkowe środki, rozpoczęła się pora deszczowa, o wiele wcześniej, niż oczekiwaliśmy. Nie robiliśmy postępów, ponieważ nie dało się pracować pełną parą. Pozostały nam jednak jeszcze tylko dwa miesiące. I wtedy, pewnego wieczora, przybiegł do mnie zaaferowany Juan i powiedział, że muszę koniecznie pojechać z nim do starego kościoła. Często bywał tam w godzinach wieczornych i kontynuował pracę, którą tam wspólnie zaczęliśmy. Pierwsze potoki deszczu wypłukały spore ilości gliny i powstał głęboki rów. Juan mógł stwierdzić, że pomiędzy gruzem i mułem znajdują się warstwy, które wyglądają inaczej. Przetransportowaliśmy więc tam cały nasz sprzęt, wszystkie maszyny, jakie posiadaliśmy, i zaczęliśmy kopać jak zwariowani. W ciągu tygodnia zebraliśmy dość dużo bardzo interesującego materiału. Najważniejsze było jednak to, że natrafiliśmy na płyty ściennie, o których tak uparcie twierdziłaś, że muszą tam być.

Diana z uciechy zaklaskała w dłonie.

— Twoja zasługa jest tu największa. Naprawdę możesz być dumna, Diano.

— Było w tym też sporo szczęścia — powiedziała cicho, onieśmielona trochę jego pochwałą.

Jednak Mark zaprzeczył. — To nie ma żadnego związku ze szczęśliwym trafem. Użyłaś tylko swojej wiedzy, a dodatkowo jeszcze fantazji i wyobraźni. Mam szczerą nadzieję, że nigdy już nie będę tak uparty, żeby nie dostrzec, kiedy należy zlekceważyć pewne zasady.

Jeszcze jedno pytanie leżało Dianie na duszy: — Mark, tatuś powiedział, że miałeś jakiś osobisty powód, żeby ze wszystkich kandydatów wybrać akurat mnie. Co to był za powód?

Lila Leonard

Mark owinał sobie kosmyk jej włosów wokół swojego palca i patrzył w zamyśleniu przed siebie.

— Na pewno zauważyłaś, że uważałem cię za bardzo pociągającą, jeszcze gdy tu mieszkałem? Zawsze jednak starałem się wmówić tobie, a przede wszystkim sobie, że tak nie jest, ponieważ jesteś... — urwał, szukając odpowiednich słów.

— ...małą głupią dziewczynką — uzupełniła Diana śmiejąc się.

Mark skinął głową. — Tak, w pewnym sensie. Nie widziałem po prostu sensu, by się w to wdawać. A gdy przyszło ci do głowy, by studiować antropologię, nigdy nie sądziłem, że traktujesz to poważnie. Gdy jednak po dłuższym czasie okazało się, że obstajesz przy tym, a następnie wysłałaś podanie, wpadłem na pomysł, by zrobić rodzaj testu. Chciałem stwierdzić, czy jesteśmy w stanie sensownie współpracować. Na wypadek, gdyby się to udało, postanowiłem wyjawić ci moje uczucia, w nadziei, że spotkam się z wzajemnością.

Diana nic nie powiedziała, tylko przytuliła się do niego.

— Zadałem sobie wiele trudu, by traktować cię możliwie obojętnie, ale to było po prostu za brudne dla mnie. Życie z tobą na co dzień, na tej małej przestrzeni niezmiernie mi to utrudniało. I za każdym razem, gdy wreszcie chciałem powiedzieć ci, co do ciebie czuję, zawsze mnie unikałaś i nie pozwoliłaś mi na to. Wariowałem z tego powodu i gdy w końcu wydawało mi się, że odwzajemniasz moje uczucia...

— Uwierz mi, że nie było mi łatwiej niż tobie zachowywać się zawsze zgodnie z rozsądkiem. Ale przecież nie chciałam być tylko twoją kochanką na czas wykopalisk — powiedziała Diana.

Mark przycisnął ją do siebie. — Wkrótce lecę znowu

do Meksyku. Ale najpierw musisz pojechać ze mną do Acapulco.

- Po co do Acapulco? — zapytała zbita z tropu. — Myślałam, że chcesz pracować teraz w innych częściach Meksyku.

Mark położył jej palec na ustach. — Nie wiesz, o czym mówię — powiedział, uśmiechając się chytrze. — Najpierw pojedziemy w podróż poślubną do Acapulco, a potem zobaczymy, co z naszą dalszą pracą. Acapulco spodoba ci się.

- Jesteś pewien? — zapytała Diana.

- Całkiem pewien — odparł tonem najgłębszego przekonania. — Plaże są tam cudowne. Będziemy mogli pływać na desce z żaglem, jeździć kopno i robić tysiąc innych rzeczy, które będą nam sprawiać przyjemność. Poza tym są tam fantastyczne dyskoteki.

- Ach, chcesz więc nauczyć mnie tańców latynoamerykańskich — powiedziała Diana śmiejąc się.

- Tak, kochanie, i jeszcze wielu innych rzeczy — szepnął jej do ucha — głos jego był ochrypły z pożądania i Diana poczuła dreszcz podniecenia, ogarniający jej całe ciało. Wiedziała, że pieszczot i pocałunków Marka nigdy nie będzie miała dosyć...